POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 11-go września 1943r. | Rok V. Nr. 36

DLACZEGO?

W kołach uchodźczych nie przestaje pojawiać się od czasu do czasu pytanie, wynikające z porównania stosunków politycznych i gospodarczych, jakie panowały w Polsce, ze stosunkami angielskimi, lub z bijącą w oczy zamożnością niektórych innych krajów, do których nas zawiodły losy wojenne. Dlaczego u nas inaczej? — Niedawno pytanie takie stawiał korespondent "Polski Walczącej," opisując Bombay. Jeszcze inni, mówiąc językiem naszych mesjanistów, pytają, dlaczego Polska jest ciągle "Chrystusem narodów"?

Przez trzy przeszło lata naszego pobytu w Anglii słyszeliśmy i czytaliśmy różne refleksje przy poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie. Zastanawiano się m.in. nad tym, kto powinien być "mózgiem narodu," czy rząd, czy też raczej jakaś bliżej nieokreślona "warstwa świadoma społeczeństwa." Wypowiadano przy tym szereg mniej lub więcej trafnych uwag, jak n.p., że mózgiem narodu nigdzie nie jest i nie może być biurokracja, oraz że wielkie i cenne cnoty żołnierskie narodu polskiego leżą na innym polu, niż cnoty mądrości politycznej czy gospodarczej, których u nas jest niewątpliwy niedostatek.

Nie brak na szczęście jednostek, które radzą nam badać tajemnice wielkości i potęgi Anglii. Należał do nich także ś.p. gen. Sikorski, który w jednym ze swoich ostatnich przemówień podkreślił z żalem lukę, jaka istnieje w społeczeństwie polskim, na skutek braku odpowiednio licznej warstwy kupieckiej. Mianem "kupców" określił gen. Sikorski tę warstwę przemysłowców i przedsiębiorców anglosaskich, którzy własną inicjatywą i wysiłkiem zorganizowali nie tylko potęgę gospodarczą Anglii, ale także życie gospodarcze przeszło połowy cywilizowanego świata.

Jeżeli się mówi z Anglikami o cnotach potrzebnych w życiu politycznym, gospodarczym i społecznym, to Anglik najczęściej odpowiada, że do organizowania życia politycznego i gospodarczego kraju i kierowania nim nie wystarczy tak zwana inteligencja, jeżeli nie jest uzupełniona zdrowym rozsądkiem /*common sense*/. Pozbawioną tego "*common sense'u*" inteligencję Anglik uważa nawet za szkodliwą, bo niszczycielską, ponieważ odznacza się pomysłami nieliczącymi się ani z doświadczeniem, ani z rzeczywistością, ani z prawami nią rządzącymi.

Historiozof amerykański Adam Brooks twierdzi jednak, że w każdym społeczeństwie młodym przeważa człowiek wyobraźni /*homo imaginativus*/, który wydaje m.in. artystów, poetów i żołnierzy. Brooks dopatrywał się już 40 lat temu objawów schyłkowości w społeczeństwie amerykańskim, ponieważ przeważa w nim człowiek gospodarczy /*homo oeconomicus*/. Pogląd ten starał się osłabić ówczesny prezydent Stanów Zjedn., Teodor Roosevelt, i miał o tyle rację, że w każdym społeczeństwie zdrowym w równej mierze potrzebne są obydwa typy i że każdy w swoim zakresie spełniać winien przypadające mu zadanie.

Państwo prusko-niemieckie rozrosło się z małych początków do rozmiaru Niemiec bismarckowskich, ponieważ z jednej strony pielęgnowało tradycje wojskowe, z drugiej zaś strony od czasów hanzeatyckich aż do najnowszych nigdy nie zaniedbywało rozwoju niemieckiej potęgi gospodarczej. Anglia nie zaniedbywała nigdy swojej marynarki, w której znajdował polę do pracy jej "*homo imaginativus*," czerpiąc z rezerwuaru, jaki posiada w strukturze duchowej potomków przedsiębiorczych Wikingów i bitnych Szkotów.

Wygranie dzisiejszej wojny światowej nie było by możliwe, gdyby za człowiekiem wyobraźni w wojsku i marynarce angielskiej nie stał "*homo oeconomicus*" jako organizator, który w krótkim czasie rozwinął w mistrzowski sposób produkcję wszystkich nieodzownych do zwycięstwa maszyn i narzędzi wojennych.

Zupełnie fałszywy jest nierzadki, ale zarazem nieprzemyślany i wielce prymitywny pogląd, że W. Brytania jest dla tego potężna i zamożna, "ponieważ na nią pracuje pół świata." Rzeczywistość bowiem wygląda tak, że Anglik, organizując nie tylko własną, ale i światową gospodarkę, doprowadził do tego, że poziom życia n.p. w Australii jest wyższy jeszcze niż w samej Anglii, a w Kanadzie, Południowej Afryce, Nowej Zelandii nie ustępuje angielskiemu.

Indie nie mają jeszcze statutu dominium, ale dzięki angielskiemu wysiłkowi organizacyjnemu rozwijają się szybko, a śmiertelność niegdyś tak wielka w tym kraju spadła choćby w ostatnim dziesięcioleciu o jedną trzecią. Wszak podziwiając zamożność Bombaju, korespondent "Polski Walczącej" miał smutne refleksje na temat naszego własnego ubóstwa. Na skutek wychowania bodźcem w wysiłku angielskim nie jest jedynie korzyść własna, ale raczej zamiłowanie do dobrze wykonywanej pracy. W tej pracy człowiek może wyładować swoją energię, ale także uczy się wychodzić z siebie i przywiązuje się do swojego dzieła jako do swojego duchowego dziecka.

Wychowanie o wielkiej tradycji, kładące nacisk na charakter, a nie tylko na wiedzę, zbudziło w Angliku zdolność do inicjatywy i do samodzielnej pracy konstruktywnej, dbającej także o cudze dobro. Praktyczny, osobisty wysiłek życiowy, który w Anglii zawsze był szanowany, a nie lekceważony jak ongiś w Polsce, rozwinął w Anglosasie talenty organizacyjne, którymi wyprzedza inne narody. Skutkiem tego imperium angielskie przechodzi już drugi raz zwycięsko próbę wojny światowej. Wszakże dominia angielskie mogłyby, gdyby chciały, pójść własnymi drogami, jak to zrobiła Irlandia. Nie czynią tego jednak, ponieważ daleko patrzący obywatel dominiów rozumie, iż znaczenie solidarności jest daleko większe i ważniejsze od innych względów: od wymaganych chwilowo ofiar i od interesów partykularnych.

Mimo olbrzymich odległości dzielących je od W. Brytanii, dominia jej nie potrzebują dopiero takich straszliwych i krwawych lekcyj, jakie odbierają od wieków narody środkowej i południowowschodniej Europy, aby zrozumieć potrzebę współpracy w łonie "*commonwealth'u*" brytyjskiego. Wszystkie sztuki propagandy niemieckiej w przeszłości, jak i obecne sztuki polityki hitlerowskiej i propagandy goebbelsowskiej rozbijały się całkowicie o daleko patrzący rozum, który Anglia zaszczepiła także w swoich dominiach.

Jeszcze przed poprzednią wojną Francuz Edmund Demolins napisał rozchwytywaną wówczas i dziś także ciekawą pracę p.t. "Na czym polega wyższość Anglosasów?" Stwierdza on zgodnie z tym, co sami widzimy, że W. Brytanią, jej dominiami i Stanami Zjednoczonymi nie kieruje ani biurokracja, ani marynarka, ani wojsko, lecz przede wszystkim wolny obywatel, ceniący wysoko niezależność życiową, opartą na wychowaniu i organizacji — obywatel, stawiający na mocy swoich doświadczeń praktycznego życia charakter ponad wiedzę, a ponad inteligencję zdrowy rozsądek. Sumienność, akuratność, wytrwałość, przemyślany podział pracy oraz oszczędność spowodowały, że Anglik zrobił najwięcej, choć niektórym się wydaje, że pracuje najmniej. Anglik nie kieruje się w przedsięwzięciach i postanowieniach swoich wrażeniem, ale zawsze stara się czerpać nauki z przeszłości i przewidywać przyszłość. Opanowuje pobudliwość i wzruszeniowość, ponieważ wie z doświadczenia, jak dalece w błąd wprowadzają człowieka, pozwalając chwili zagórować nad rozumem i obliczeniami, przewidującymi rozwój wydarzeń w przyszłości.

Na pytania krytyczne. które nasuwają się nam tutaj w Anglii przy porównywaniu naszych i brytyjskich stosunków, trafnie odpowiada Stanisław Szczepanowski, który w ubiegłym stuleciu badał stosunki angielskie. Poszukując wówczas przyczyn "nędzy Galicji" wykazuje Szczepanowski, jak wskutek braku organizacji, zacofania gospodarczego i nietroszczenia się o przeobrażenia zagranicą, wydajność pracy wynosiła u nas około jednej czwartej tego, co w krajach zachodnich mimo, że robotnik polski jest zagranicą ceniony dla swej pracowitości; jak szlachta polska, w poczuciu własnej niemocy, poszła po linii najmniejszego oporu, czyli wręcz przeciwnie, jak ta sama warstwa w Anglii i weszła na "drogę oparcia się o najpotężniejszy, najlepiej zorganizowany żywioł w kraju — o biurokrację . . ."; jak to było "zasadą austriacką utrzymywanie wielkiej liczby licho płatnych urzędników, zamiast mniejszej liczby dobrze płatnych," przy systemie wykluczającym osobistą odpowiedzialność; jak z natury rzeczy "ludzie żyjący ze stałych pensji nie odczuwają w ten sposób sytuacji ekonomicznej, jak ją odczuwają klasy produktywne, klasy zarobkujące"; jak biurokraci "spodziewają się ratunku od zewnętrznej zmiany ustroju społecznego . . . a nie od przetworzonego serca i sumienia ludzkiego"; jak w Galicji powinniśmy byli mieć "rząd rządzący krajem, zamiast urzędników załatwiających kawałki" i t.d., i t.d.

Można pozostawić czytelnikowi stwierdzenie na mocy własnych doświadczeń, co z tych wszystkich i innych głęboko zakorzenionych niedomagań przyjęło się w Polsce odbudowanej i jak się to na niej, na jej polityce wewnętrznej i zewnętrznej odbił ów światopogląd emerytalny, przeważający wśród niestety urzędniczej głównie inteligencji polskiej.

Należy się nam przeto wzorować na W. Brytanii i pilnować w państwie wypróbowanego rozgraniczenia zadań między poszczególnymi czynnikami państwowymi. W szczególności biurokracja, której odpowiedzialność należało by zwiększyć, winna spełniać sumiennie swoje zadania administracyjne, a politykę wewnętrzną i zewnętrzną winno się pozostawić narodowi i powołanym przezeń legalnym przedstawicielom. Wspólnymi siłami winniśmy wyrównywać braki, aby naród nie tylko w dziedzinie bojowego wysiłku i ofiarnego cierpienia, ale także w dziedzinie twórczego gospodarczego i politycznego wysiłku stanął na wysokości wielkich swoich zadań, w których go zresztą nikt ani zastąpić, ani wyręczyć nie może pod groźbą katastrofy.

Powinniśmy zwłaszcza planowo starać się wytworzyć w Polsce warstwę inteligencji niezależnej, nie urzędniczej, o cnotach, jakie w W. Brytanii uważa się za podstawowe dla rozwoju życia gospodarczego narodu. Tylko z takiej warstwy wyjść może w Polsce potrzebna ilość ludzi przewidujących, na mocy praktycznego doświadczenia życiowego. Zamiast przeceniać znaczenie przygodnych kursów czy przyśpieszonych matur, pchajmy młodzież polską do biur i warsztatów angielskich, by się w nich nauczyła konstruktywnej pracy i organizowania warsztatów wytwórczych, samowystarczalnych na skutek racjonalnej gospodarki.

Tylko na tej drodze zdołamy usunąć u nas pewne zgubne elementy słabości.

MICHAŁ KWIATKOWSKI

OTTO MACIĄG: Szkockie wybrzeże



Szkic sytuacyjny

UDERZENIE NA WŁOCHY

Dnia 6-ego września rano komunikaty sojusznicze co do działań w Kalabrii były nadal powściągliwe. Nie wiemy, jakich postępów dokonano poza zajęciem miast takich, jak Reggio i San Giovanni. Z raportów sprawozdawców prasowych można by się domyśleć, że poza ruchami wszerz i parciem ku Tarentowi czy Bari, drugi ruch idzie w głąb lądu. Oddziały brytyjskie posuwają się również szlakami pobrzeża od Reggio. Opór, na jaki natrafiono na brzegu kalabryjskim był podobno bardzo słaby. W kilku punktach nieprzyjaciel wycofał się, nie próbując nawet walki.

Sprawozdawcy podkreślają, że nie natrafiono dotychczas na główny ośrodek sił i że nieprzyjaciel stosuje bodaj taktykę powolnego cofania się. Czy chce on wydać walkę gdzieś dalej na północy, czy też usiłuje wciągnąć siły alianckie, ażeby uderzyć na nie potem — nie wiemy.

Pewne koła twierdzą, że uderzy ona koło Neapolu, a nawet wyżej, koło Rzymu, gdyby okazało się, że wojska niemieckie, posiłkowane przez pułki włoskie, usiłują uderzyć na wojska brytyjskie na południu.

Zarys wojskowy przedstawia się na razie dosyć mgliście. Nie wiemy, jak się rozwiną działania, nie wiemy, czy uderzenie na Reggio było atakiem głównym, czy też raczej manewrem mylącym. Nie wiemy również, czy sojusznicy mają plan wypierania wroga przez całą długość "*buta*" włoskiego czy też raczej opanowania południa Włoch celem skoku dalej, na wschód ku Bałkanom. Te wszystkie możliwości nie występują dzisiaj jasno.

Jeszcze mniej jasno zarysowuje się polityczna strona wojny z Włochami. Rozgłośnia rzymska dała do zrozumienia, że Włochy gotowe *są przyjąć "wszelkie rozsądne warunki,"* ale hasło "bezwarunkowego poddania" nie jest rozsądne. Równocześnie pogłoski powiadają, że wysłannicy włoscy rozjeżdżają po świecie.

W każdym razie stwierdzić należy, że w kampanii politycznej przeciwko Włochom zaszły ważne zmiany:

strona sojusznicza zaprzestała atakowania rządu Badoglia. W ostatnich czasach odzywają się na łamach pism brytyjskich /"*Observer*" z dnia 5.IX./ głosy, dla tego rządu raczej przychylne, wskazujące, że dokonał on "demokratycznych" zmian, że wciągnął do współpracy socjalistów, a nawet komunistów /przedstawiciel bezrolnych chłopów włoskich/, że opanował sytuację, albowiem robotnicy nie strajkują.

nie powtarza się już pod adresem Rzymu hasła "bezwarunkowego poddania,"

rozumie się lepiej olbrzymie trudności Włoch znajdujących się w potrzasku niemieckim.

Sojusznicy musieli wkroczyć na ląd włoski, albowiem okazało się, że samym bombardowaniem nie złamie się Włochów i że to nie wpłynie na usunięcie się armii niemieckiej.

Wydaje się, że *kampania włoska będzie grana na dwóch szachownicach — militarnej i politycznej. Ta druga może okazać się ważniejsza.*

OCZEKIWANIE W WASZYNGTONIE

Roosevelt i Churchill czekają w Waszyngtonie. Na co? Czy na doniesienia z pola walk we Włoszech, czy na wysłannika Rzymu, czy też na jakieś słowo Moskwy? Nie wiemy. Faktem jest, że ma się odbyć narada ministrów spraw zagranicznych Rosji, Anglii i U.S. Wspomina się o Londynie, jako o miejscu spotkania.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że istotnie Waszyngton chce uzyskać obecnie wyjaśnienie sytuacji ze strony Moskwy i że nawet w sprawach włoskich chce uzyskać pewnego rodzaju "*placet*" Rosji. Przypuszczać wolno, że obaj zachodni alianci chcą za wszelką cenę uniknąć pogłębiania się różnic z Wschodem. *Wszystkie posunięcia sojuszników zachodnich świadczą o ich najdalej idącej dobrej woli. Nikt bezstronny nie wątpi chyba w istnienie tej dobrej woli.*

Mowa Churchilla była wyrazem tej gotowości podjęcia każdej dyskusji, ale równocześnie zakreśliła granice. Churchill powiedział, że udzielono wszelkiej pomocy, ale że o kierunku uderzenia decydować muszą alianci, znający swoje możliwości. *Front we Włoszech opinia brytyjska uważa za pełny drugi front.*

Mowa Churchilla była wzorem jasności, ścisłego określenia obowiązków, przypomnienia na czasie faktów, których pewien odłam opinii brytyjskiej nie pamięta, czy nie chce pamiętać. *Oświadczenie z cytadeli w Quebecu było bardzo wskazane i bardzo na czasie.*

NA FRONCIE WSCHODNIM

Cofanie się armii niemieckiej na Wschodzie trwa. Wprawdzie Wehrmacht unika wyraźnie "zwarcia," jeżeli można zastosować do tych walk wyrażenia z ringu bokserskiego, ale nie mniej nie może uniknąć utraty terenu. Odrywa się on stale od wroga, unika osaczenia, nie zostawia garnizonów na zagładę. Oddaje stanowiska po stanowiskach, niszcząc wszystko wokół z iście niemiecką dokładnością. Jest to odwrót na razie jeszcze planowy i celowy, odwrót w ordynku i ładzie.

Straty w terenie, jakie Wehrmacht ponosi są poważne. Straty w ludziach i sprzęcie muszą być również znaczne. *Przewaga lotnicza wydaje się być na pewnych odcinkach po stronie sowieckiej.* Tym ciężej cofać się armii niemieckiej, która nie rozporządza już przewagą powietrzną.

Warunki cofania pogorszą się w jesieni, a w zimie mogą stać się tragiczne. Nic nie wskazuje na to, ażeby Rzesza mogła sobie pozwolić niedługo na zryw ofensywny, ażeby zdołała odwrócić prawo strategii i atakować w zimie. Zima ta może stać się dla armii niemieckiej tym, co przetrąci jej stos pacierzowy.

BERLIN POD BOMBAMI

Naloty na Berlin wydają się atakami planowymi. Uderzenia w to wielkie centrum przybierają na sile. Możliwości ataku stają się coraz większe, ze względu na dłuższą noc. Z drugiej jednak strony bombowce brytyjskie napotykają na tak silny opór myśliwców nocnych wroga, że muszą ataki swoje redukować w czasie. Ostatni trwał tylko 20 minut.

Okazało się, że Niemcy rozporządzają dzisiaj wielkimi chmarami pościgowców nocnych i że wobec tego nie można zbyt długo popasać nad celem. Pewne doniesienia mówią o setkach niemieckich myśliwców nocnych. Inne nawet o tysiączce.

Pozostaje faktem, że atak musi być tak szybki, ażeby strona przeciwna nie zdołała skrzyknąć nadmiernie wielkiej ilości "*night fighterów.*" Okazały się one najgorszym wrogiem ataku. Dlatego na tej właśnie obronie Rzesza dzisiaj głównie polega. Po drodze do dalszych celów RAF'u walczy dalej ziemia niemiecka artylerią przeciwlotniczą, jakkolwiek wydaje się, że istnieją już strefy, w których pościgowce stawiają opór raz za razem, ażeby przerzedzić szyki ataku, spędzić z tropu bombowce sojusznicze i skłonić je do rozproszenia.

Przewaga lotnicza, jaką posiada dzisiaj atak, nie jest zjawiskiem stałym. Każda przewaga jest rzeczą względną. Jeżeli Rzesza potrafi stworzyć zapory obronne z "*night fighterów,*" skuteczność ataku naszego zesłabnie. Dlatego to atak brytyjski śpieszy się, albowiem trzeba wykorzystać przewagę, jaką dała nam chwila.

ZMIANY W RZESZY

Nastroje, jakie panują w Rzeszy napewno nie polepszają się. *Nominacja Himmlera na ministra spraw wewn. dowodzi, że Rzesza "zapina się na ostatni guzik."* Himmler jest tym właśnie ostatnim guzikiem. Po nim już nie ma niczego.

Oczywiście, kierownictwo Rzeszy przekonało się, że nie można pozwolić na takie rozluźnienie, jakie nastało we Włoszech i że najwyższy czas przykręcić śrubę. Himmler był zawsze i stale uważany za tego człowieka, który wskoczy w chwili, gdy Rzesza będzie "w złej skórze." Ma on nie tylko rękę brutalną, ale także i środki do uprawiania terroru. Jego zespół "uzbrojonych S.S." jest potężną armią. Armia ta rozwijała się w czasach ostatnich a dzisiaj może wystąpić na wypadek ruchawek.

O ile na froncie działa Wehrmacht i wpływy oraz natchnienia partii z Fuehrerem włącznie, wydają się tam już prawie nieistniejące, to *front wewnętrzny trzyma jeszcze dalej partia.* Taki podział ról został ustalony. Nie wiemy oczywiście jak długo partia podoła swojemu zadaniu. Zawisłe jest ono bowiem całkowicie od wypadków na froncie, jak i od siły bombardowania Rzeszy.

Bombardowanie, jakkolwiek niszczy ono potężnie przemysł i zmusza do ewakuacji i rozproszenia /podobno Wiedeń ma być ewakuowany/, to jednak — staje się to jasne — nie zdecyduje jeszcze o wyniku kampanii przeciwko "fortecy europejskiej." Dlatego postępy lądowe sojuszników na kontynencie Europy będą miały jednak znaczenie rozstrzygające.

Nie wiemy, jakie siły alianckie dowództwo w tym jeszcze roku rzuci do boju. Nie wiemy, jakie akcje planuje na rok przyszły. Ale trzeba przyjąć raczej, że *sojusznicy będą uderzali tam, gdzie mają szanse uzyskania sukcesu, będą uderzali rozsądnie, celowo.*

Londyn, dnia 6-ego września 1943.

ZBIGNIEW GRĄBOWSKI

Z tygodnia na tydzień

30 sierpnia: *Wojska niemieckie ewakuowały Taganrog.*

31 sierpnia: *Ogłoszono, że wojska sowieckie zdobyły Jelnię, na wschód od Smoleńska oraz Rylsk i Głuców na południe od Briańska.*

—W nocy z 30/31 polskie samoloty bombowe brały udział w nalocie na München-Gladbach.

—O.R.P. "Piorun" wraz z innymi kontrtorpedowcami brytyjskimi osłaniał pancerniki "Nelson" i "Rodney," które w niezwykle śmiały sposób ostrzeliwały baterie nadbrzeżne na północ od Reggio.

1 września: *Rocznica najazdu niemieckiego na Polskę. W związku z nią z Kraju nadeszła depesza, w której czytamy:*

"Zapewniamy Prezydenta Rzeczypospolitej, Rząd Polski oraz naszych sojuszników, Anglię i Stany Zjednoczone, że nawet tak ciężkie ofiary, jak te, które Polska dzisiaj ponosi, nie powstrzymają narodu w walce, która przywróci do życia niepodległą i niczym niepomniejszoną, demokratyczną Rzeczpospolitą."

—W nocy z 31 sierpnia na 1 września lotnictwo brytyjskie bombardowało Berlin. 47 bombowców brytyjskich nie powróciło z tej wyprawy.

3 września: *Wojska brytyjskie i kanadyjskie lądowały poprzez cieśninę Messyńską w południowych Włoszech.*

—Polskie samoloty bombowe w nocy z 2/3 przeprowadzały specjalne bombardowania. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

—Polskie dywizjony myśliwskie wykonały loty patrolowe oraz trzykrotnie osłaniały wyprawy bombowe. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

—Polski dywizjon myśliwski wykonał lot patrolowy i osłonę wyprawy bombowej. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

4 września: *W nocy z 3/4 lotnictwo brytyjskie bombardowało Berlin. Był to najbardziej skoncentrowany nalot z przeprowadzonych dotąd na Niemcy. W ciągu 20 minut zrzucono 1000 ton bomb.*

—Naczelny Wódz gen. Sosnkowski dokonał inspekcji oddziałów spadochronowych. Naczelny Wódz udekorował 52 spadochroniarzy Krzyżami Zasługi z mieczami.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały ośmiokrotnie wyprawy bombowe.

W czasie przeprowadzanych zadań zniszczono trzy Focke Wulfy 190 napewno i jeden prawdopodobnie.

Ponadto polskie samoloty myśliwskie wykonały patrolowe loty ofensywne. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych zadań.

5 września: *W nocy z 4/5 polskie samoloty bombowe wykonały szereg operacyj bombowych. Wszystkie załogi polskie powróciły.*

Nowości lotnicze

Sycylia została zajęta i walki na wyspie ustały. Kilka tygodni trwała przerwa w działaniach wojennych na ziemi. Przerwę tę wypełniały jednak obficie operacje lotnictw alianckich. Berlin oberwał trzy razy, przyczem nalot ostatni był nalotem ku upamiętnieniu 1-go września i pierwszych nalotów bandyckich na ziemię polską. Bardzo ciężkie naloty na Norymbergę, na rozmaite mniejsze, lecz bardzo uprzemysłowione miasta Ruhry, na ważne centra północno-zachodnich Niemiec następowały jedne po drugich, każdy o dużym nasileniu, przy użyciu wielkiej liczby bombowców. Powietrze nad Wielką Brytanią drżało po nocach od motorów ciężkich maszyn, jakże musiały drżeć serca niemieckie?

Podczas ostatnich dni dwadzieścia lotnisk niemieckich we Francji, Belgii i Holandii, mniejsze fabryki, warsztaty kolejowe, pociągi, centra energiotwórcze znalazły się również pod bombami i pociskami działek.

W krótkim czasie lotnictwo z samych Wysp Brytyjskich wykonało 40,000 lotów. Cyfra ta zresztą jest tylko przybliżona do prawdziwej, wskazuje jednak dostatecznie na wielkie natężenie ofensywy powietrznej Sprzymierzonych. Wydawać się może, że po prostu Sprzymierzeni prowokują wroga do wystąpienia masowego, prowokują do bitwy, która by dała w rezultacie nowy stosunek sił. Czy prędzej czy później Niemcy znajdą się w takiej sytuacji, że taką bitwę będą musiały przyjąć.

Niezależnie od powietrznego frontu na Zachodzie, Włochy i wyspy śródziemnomorskie są również atakowane z powietrza przez siły marszałka Teddera. Niektórzy z korespondentów wojennych nazywają chętnie obecne działania powietrzne "wybombardowywaniem Włoch z wojny."

Jednak tak nie jest. Nieraz już wskazywaliśmy w naszych omówieniach na fakt, że nawet przy najbardziej intensywnym bombardowaniu, przy najpotężniejszym lotnictwie nie można wyeliminować całego kraju z wojny i rzuciwszy na kolana, zmusić do zawarcia pokoju. Właśnie może Włochy, ze swą nadmierną wrażliwością południowców, w dodatku przemęczonych wojną i propagandą, są naszej tezy najlepszym dowodem. Szereg miast włoskich obrócono w perzynę, zniszczono centra kolejowe, zniszczono ośrodki siłotwórcze, rzucono masy ludności z miast w kraj, na wędrówkę, która demoralizuje nie tylko wędrujących lecz i przyjmujących uchodźców —a jednak Włochy trzymają się, szukają zdrowego wyjścia, korzystnego dla siebie rezultatu rokowań i — mogą sobie na to pozwolić.

Gdyby Włochy poddały się w ciągu najbliższych tygodni, czego zresztą oczekiwać należy, nie będzie to wyłączną zasługą lotnictwa. Będzie to bezpośrednim wynikiem sytuacji, w jakiej znalazł się ów nieszczęsny naród po zdobyciu Sycylii, stracie floty i swego lotnictwa, po opuszczeniu przez sojusznika niemieckiego.

Niewątpliwie działania lotnicze przyśpieszają zwycięstwa na ziemi. Wstępem do działań armii, które mają mieć szanse powodzenia, musi być zwycięstwo w powietrzu. Jednak w obecnym stanie technicznym lotnictwo nie ma jeszcze możliwości zniszczenia przeciwnika na ziemi i wykonania warunku ostatecznego zwycięstwa: nie tylko pobicia jego armii, lecz zajęcia terenu wrogiego. Zajęcie terenu jest jednak ostatecznym i jedynym probierzem zwycięstwa. Niewykonanie tego warunku uczyniło połowicznym zwycięstwo Sprzymierzonych w 1918 roku.

Niemcy to kraj ogromny i gęsto zaludniony, bardzo uprzemysłowiony, przy centrach przemysłowych rozproszonych w przestrzeni. Jest rzeczą całkowicie wykluczoną, by uległ jedynie skutkom bombardowania lotniczego. Gdyby tak się na pozór stało — byłoby to tylko dowodem nowej gry dyplomatycznej Niemców, lecz nie nieodwołalnej klęski. *Niemcy muszą być zwyciężone na ziemi.* Gdy ujrzymy rozgromione armie, flagę brytyjską i amerykańską w Berlinie, wtedy dopiero rzec możemy: dokonaliśmy dzieła.

Przyszłość należy do nas. Można dziś mówić już bez optymizmu o pewnym zwycięstwie Aliantów. Nie należy jednak spodziewać się go natychmiast, mogą zajść komplikacje, które ostateczne wyswobodzenie narodów odsuną na bardzo długi termin. Gdyby zaś Włochy poddały się zaraz i Aliantom bez trudu udało się dostać na północno-włoskie lotniska, powinniśmy wtedy poprawić nasze kalkulacje wojenne i przypuszczalny termin ukończenia wojny określać o tydzień wcześniej.

Przechodzimy teraz do omówienia spraw lotniczych polskiego frontu wewnętrznego.

Minęła rocznica wejścia Polski do wojny. W dniu 1 września napadło Polskę 3500 samolotów niemieckich, niszcząc miasta, miasteczka, wsie, zabijając spokojną cywilną ludność, paląc zbiory. Dziś Niemcy widzą w nalotach lotnictw alianckich próby terroru. Czymże innym, jak nie terrorem były owe działania przeciw ludności? Zły czyn jak bumerang wraca do sprawcy.

Lotnictwo polskie, którego gotowość bojową pewne czynniki zapowiadały dopiero na rok 1944 /!/ weszło w akcję nieliczne i nieuzbrojone. Przeciw nawale nieprzyjaciela wzleciało w powietrze 426 samolotów. Lecz z tego n.p. dwanaście plutonów łącznikowych w ogóle nie miało uzbrojenia. Wiele dywizjonów myśliwskich uzupełniono w ostatniej chwili maszynami ze szkół, o zmęczonych motorach. Całe lotnictwo myśliwskie to było razem — 161 maszyn. Całe bombowe — maszyn 86. W ciągu przebiegu kampanii straty wyniosły 333 samoloty a więc 83% stanu z dnia 31 sierpnia. Wszystkie uzupełnienia dywizjonów lotniczych w sprzęt wyniosły w czasie przebiegu kampanii: 25 maszyn. Dwadzieścia pięć! Nie było rezerw, owych nieodzownych 300%, które decydują o wartości bojowej jednostek . . .

A jednak sam Goering przyznał się do strat przeszło 1000 osób z załóg, a najbardziej pesymistyczne obliczenia wykazują, że zestrzelono ok. 400 maszyn niemieckich. W logicznej konsekwencji musiało ich być przynajmniej jeszcze dwa razy tyle. To było też przyczyną, że Niemcy przed dalszą kampanią przeciw Sprzymierzonym byli zmuszeni całkowicie przeorganizować swe lotnictwo. Potrzebowali na to aż dwu miesięcy czasu.

Lotnictwo Polskie w świetle tych faktów dobrze wypełniło swe zadanie.

Co było przyczyną tak fatalnego stanu rzeczy przed 1939 rokiem? Przede wszystkim podział spraw lotniczych i decyzji w sprawach polityki lotniczej aż między cztery resorty ministerialne, przy zgrupowaniu najważniejszych spraw w dwóch: Ministerstwie Spraw Wojskowych i Ministerstwie Komunikacji. W wyniku tego — Polska nie miała w ogóle polityki lotniczej. Nikt nie mógł określić, co należy robić, by być silnym i przygotowanym.

Tak n.p. w pewnym momencie Ministerstwo Komunikacji zakupiło dla naszych linii komunikacyjnych sprzęt, który w ogóle nie mógł być uzbrojony. A jednak ten sprzęt z natury rzeczy miał grać poważną rolę w naszej gotowości bojowej. Podobnie rzecz się miała z przygotowaniem naszych pilotów, podobnie z lotniskami, podobnie z pracami wewnątrz fabryk, podobnie z zakupami. Wiadomo: gdzie kucharzy sześć — tam nie ma co jeść.

Jakże na tle historii wygląda sprawa nowego podziału lotnictwa polskiego, dokonana niedawno?

Doszedł świeżo do naszych rąk egzemplarz krajowego czasopisma podziemnego "Wzlot." Jest to pismo młodzieży lotniczej. Ze wzruszeniem patrzyliśmy na szpalty tego periodyku. Jest świetnie redagowany, poziom jego jest nawet na czasy normalne wysoki, zarówno pod względem treści technicznej jak i polityczno-lotniczej. Artykuł "Polacy są narodem lotniczym" jest pisany z tak szerokim oddechem politycznym, że mógłby go pozazdrościć niejeden z polskich Londyńczyków, roszczących sobie pretensje do miana polityka.

Oddychamy z ulgą: a więc jednak tam w Kraju nie napotkamy absolutnej pustki. W kraju jest młodzież lotnicza, która pisze, uczy się, a przede wszystkim myśli wysokimi kategoriami przyszłości, o które na tutejszym rynku bardzo trudno. Czasem wydaje się, że czad wieku dziewiętnastego tak zdusił mózgi, że nie umieją już kalkulować samodzielnie, tylko jak nakręcona katarynka grają jedne i te same melodie z czasu, kiedy Marx pisał swój "Kapitał," a inż. Adler budował swego parowego "Nietoperza." Tylko że w owym pamiętnym roku 1873-cim jego pierwszego, stumetrowego skoku, mierzonego na piasku metrem, francuskie koła militarne i polityczne zareagowały utworzeniem towarzystwa aeronautycznego, a *Ministère de la Guerre* przystąpiło do opracowywania i opracowało pierwsze regulaminy lotnictwa, które w treści i ujęciu nie ustępowały w niczym regulaminom z 1918 roku . . .

Niestety myśl lotnicza przyszłości, niema wielu zwolenników w naszej emigracji. Jesteśmy jednak głęboko przekonani, na podstawie żywego dowodu "Wzlotu," że inaczej jest w społeczeństwie w kraju. Tam napewno nikt z tej młodzieży, która pilnie uczy się nawigacji i studiuje problemy nowego porządku świata, koniecznego wobec rewolucji komunikacyjnej 1939 — nie wpadnie na pomysł podziału lotnictwa na cywilne i wojenne. Bowiem doskonale wiedzą, że ten podział był jedną z przyczyn kapitalnych naszej klęski wrześniowej. Nie wpadnie im też do głowy absolutne dzielenie ludzi w lotnictwie na leśnych dziadków i płomienną młodzież. Piszą bowiem: "chcemy by nas zrozumiano i chcemy zrozumieć starszych. A jeśli połączy nas jedność myśli — napewno wspólnym wysiłkiem wybudujemy polskie lotnictwo."

Od roku 1922 lotnictwo polskie i ludzie politycznie światli walczyli o uznanie ważności zagadnień lotniczych przez wszystkie sfery społeczeństwa polskiego, o uznanie ważności tej idei, o której znowu w artykule programowym pisze "Wzlot": "nie ustępuje w niczym żadnym ideom politycznym czy społecznym, bo skupia i łączy ludzi." Walka ta miała swój ostateczny wyraz w dążności do skupienia całego lotnictwa w ministerstwie względnie podsekretariacie stanu lotnictwa.

Jakżeż więc zrozumieć dziś owe dążności drążące w pewnych sferach politycznych do podziału lotnictwa? Czy mamy to rozumieć jako walkę nie na czasie o władzę, jako smętne partyjne rozgrywki, czy jako nieporozumienie na skalę grzechu przeciw państwu? Każdy początkujący uczeń szkoły lotniczej wie przecież, że podział na lotnictwo "cywilne" i "wojskowe" nie istnieje i istnieć nie może. Sprawy lotnicze są sprawami lotniczymi i są tak splątane ze sobą, że i święty ich nie podzieli.

Czyż mamy wrócić do czasów, kiedy to lotnictwo komunikacyjne mieściło się w Ministerstwie Komunikacji w jednym wydziale z kolejkami dojazdowymi? Do tych czasów, gdy jednym tchem wymawiano rozkład jazdy na wąskotorówce Łyntupy-Miadzioł i linii lotniczej Paryż — Warszawa — Bukareszt?

M. J. GORDON

O tej godzinie w Polsce

Ludzie z innego świata pojęć

Wojna obecna pociągnęła za sobą jeszcze jeden skutek, o którym się nie pamięta: oddaliła świat cywilizowany od Niemiec. Zmniejszyła do minimum, do nielicznych jednostek liczbę ludzi, którzy mogą bezpośrednio śledzić życie niemieckie.

Z tym przyglądaniem się życiu niemieckiemu było źle na ogół od dość dawna, było źle zwłaszcza przed wybuchem obecnej wojny, chociaż wtedy jeszcze setki osób spośród cudzoziemców mieszkały w Berlinie i mogły się przypatrywać Niemcom hitlerowskim. Ale w samej metodzie oglądania życia niemieckiego tkwił zasadniczy błąd. Największą przeszkodą w zrozumieniu przez obcych niemieckiego życia nie było ani to, że oglądający byli cudzoziemcami, ani to, że wiele rzeczy przed nimi tajono lub nawet maskowano w niewinne pozory. W okresie przedwojennym największą przeszkodą we właściwym zrozumieniu niemieckiego życia był fakt, że to *spotkały się dwa już zupełnie różne światy.*

Im dalej od roku 1919, tym bardziej stawały się Niemcy światem samym dla siebie, światem "z innej planety." A ludzie przyjeżdżający do Niemiec pozostawali ciągle sobą. Co więcej, nie chcieli ani rusz dostrzec, że przyglądają się widowisku, które wyszło z normalnego wymiaru i poszukało sobie wymiaru innego. Sądzili uparcie, że to, na co patrzą, ciągle odbywa się w świecie pojęć dotychczasowych.

Oczywiście, przy uporczywym trzymaniu się takiego punktu widzenia cały hitleryzm nabierał cech doskonałej operetki, na którą jest zabawnie popatrzeć. Śmieszna figurka z wąsikami, miotająca się po trybunach i wrzeszcząca na olbrzymich stadionach, uchodziła za postać błazeńską, którą — gdy się jej będzie miało dość — każdej chwili można będzie wyrzucić ze sceny.

Mało ludzi wgłębiało się w istotną treść życia niemieckiego i chciało zrozumieć jego "odmienność" nie po raz pierwszy zresztą w historii. Ale i ci nawet nieliczni, wszystkie niemieckie niespodzianki skłonni byli rozpatrywać jako *curiosa* raczej i przypadkowości, niż jako powstanie nowego zupełnie świata, konsekwentnego i planowego. Po powrocie do swoich krajów najprzenikliwsi nawet cudzoziemcy popełniali najtragiczniejszy błąd, który dotąd nie ustąpił: *opisywali życie niemieckie pojęciami, wykształconymi w obrębie cywilizacji zachodniej.*

Tymczasem tam działo się już zupełnie co innego. Hitleryzm zebrał wątki przewodnie całej historii niemieckiej, związał je w jeden węzeł i uczynił z tych wątków — religię. To, co Niemcy dotychczas aplikowali światu w rozcieńczeniu i od czego truł się on powoli, ale nie umierał, to teraz podano w skoncentrowanym ekstrakcie, od którego miała nastąpić śmierć natychmiastowa.

To co nazywam "innym światem pojęć," "nową cywilizacją," a co doszło do pełnej dojrzałości i spełnienia w erze hitlerowskiej, nie jest pomysłem hitleryzmu, nie powstało nagle i od razu. Dojrzewało powoli i konsekwentnie przez całą historię niemiecką, formowało się na kartach wielu pokoleń niemieckich pisarzy politycznych. Narodowy socjalizm ma tylko trzy "zasługi" w tym zakresie: ostateczne sformułowanie tych programowych niemieckich wątków historiozoficznych, zdecydowanie się na ogłoszenie ich otwarcie i wprowadzenia w życie w tak dynamicznym ekstrakcie, w jakim nie potrafili tego zrobić ani Fryderyk II, ani Bismarck, ani Wilhelm II, ani Treviranus.

Gdyby nie było takiej właśnie historii niemieckiej, jaka była, nie było by hitleryzmu. Gdyby w roku 1916 feldwebel Adolf Hitler był poległ w okopach wojny światowej, mielibyśmy dzisiaj w Niemczech również obłęd nienawiści, a na świecie wojnę. Bowiem narodowy socjalizm nie jest zjawiskiem przypadkowym, dopustem, ale jest końcowym etapem pewnego procesu historycznego.

Gdy Anglik skłamie lub złamie umowę, to jakkolwiek to przedstawi i usprawiedliwi względami na spoistość Imperium, w głębi duszy nigdy nie przestanie wiedzieć, że skłamał i złamał umowę, bo Biblii nie można podrabiać. Gdy Polak ukradnie dla najwznioślejszego celu, to chociaż wyszuka zapewne dla swego czynu wiele okoliczności łagodzących, do końca życia będzie wiedział, że popełnił czyn karygodny, bo Dekalogu nie da się zmienić nawet dla polskich celów patriotycznych. Gdy Niemiec skłamie, ukradnie lub zabije, nie będzie nawet szukał okoliczności łagodzących, uśmiechnie się tylko promiennie swym nordyckim obliczem i będzie czuł radość z *moralnie* dobrego uczynku.

Na tym bowiem polega cała rzecz, że w Niemczech zmieniono — teraz otwarcie /jak poprzednio czyniono to tam skrycie i podstępnie/ dotychczasowy Dekalog na Dekalog inny: właśnie "zabijaj," właśnie "kradnij!", właśnie "mów fałszywe świadectwo!" — jeśli każe ci tak interes twojego kraju ustami nowych proroków. I właśnie tej "drobnej" różnicy nie dostrzegli cudzoziemcy, wracając z Niemiec, choć opisywali malowniczo zjazdy norymberskie i nowe metody stosowane w niemieckich szkołach.

Tak było w okresie przedwojennym. Rezultat badań — żaden, chociaż praktycznie okazje do nich istniały. Lecz od czasu wojny rezultat jeszcze mniejszy. Drzwi od niemieckiego życia zatrzasnęły się szczelnie. Zaczął się okres oglądania życia niemieckiego na odległość, poprzez wiadomości krajów neutralnych i przez czytanie niemieckich enuncjacji. I tu nastąpiło zjawisko zgoła osobliwe. Nie tylko przez trzy i pół roku wojny nie nauczono się o Niemczech niczego nowego, ale zapomniano jeszcze w dodatku okruchów wiedzy o "narodzie panów," jakie zapamiętane zostały z przedwojennego okresu. Wiadomości nadchodzące z Niemiec, a zwłaszcza krajów okupowanych zamyka się po tej stronie frontu w system pojęć człowieka cywilizowanego o wojnie, na podstawie wyobrażeń i doświadczeń zebranych z wojen dotychczasowych, co jest szczególnie groźne dlatego, *że w czterech latach wojny Niemcy odeszły od cywilizacji zachodniej o wiele bardziej, niż w okresie od Bismarcka do Wilhelma i niż w siedmiu latach przed wojną obecną.*

—W Polsce rozstrzelano stu zakładników! — donoszą komunikaty polskie.

—Tak, to bolesne — odpowiada opinia brytyjska — ale trzeba pamiętać, że we wszystkich wojnach rozstrzeliwano zakładników. A zresztą — czego już nie ma w odpowiedziach angielskich — zapewne było tych zakładników nie stu, tylko pięciu.

Komunikat polski donosi:

—W Polsce jest już w tej chwili wielkich obozów koncentracyjnych 43 i kilkadziesiąt małych t.zw. "powiatowych."

—Tak, ale w czasie każdej wojny odosabnia się ludzi niepożądanych, mogących zakłócić porządek.

—Niemcy wygładzają polską ludność. Wywożą z Polski niemal całą żywność.

Reakcja opinii zachodniej jest spokojnie konserwatywna:

—Tak, ale od dawna wiadomo, że wojna nie stanowi przyjemności. W czasie jej trwania jest zawsze trochę głodniej.

W pewnym więzieniu na terenie Polski, w miejscowości, której nazwę znam, dnia 6 maja 1942 roku dwóch młodych ludzi z S.S. zabiło z rewolwerów automatycznych 304 osoby. Dzieła tego dokonali w czasie niewiele przekraczającym dwie godziny. Na każdego z oprawców wypadło po 152 osoby. Zabijali nie z odległości, ale "indywidualnie," pojedynczo. Potworne jest to przestrzenne zbliżenie zabijających do zabijanych w takiej ilości. Wiadomość o tym podawaliśmy kilka razy. Nigdy dotąd nie została ona zamieszczona w angielskiej gazecie. Sądzę, że ci Anglicy, którzy się z nią zetknęli, uważali ją za zmyśloną. I w dodatku za zmyśloną niedołężnie, po prostacku.

Żadna inna wiadomość tego typu nie ukazała się w angielskim wydawnictwie. W Poznaniu w roku 1940 założyli Niemcy przy więzieniu dla Polaków szkołę "egzekucji i badania," w której w oparciu o studia fizjologii i układu nerwowego człowieka, wykładano "uczniom" od 18 do 25 lat sztukę powolnego mordowania ludzi i wydobywania z nich zeznań. W tej szkole wynaleziono, oprócz słynnego "polowania ku czci Führera," dwa nowe rodzaje tortur, których nie znała dotąd kryminalistyka. Wiadomość o tym nie pojawiła się nigdzie, choć była podawana.

Nie wydrukowano również nigdzie wiadomości o owym rozporządzeniu z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, które nakazuje uśmiercać w zainstalowanych na terenie obozu komorach z gazem trującym przysłane dzieci poniżej lat 12 i niedołężnych starców. Nie przyjmowano również do pism sojuszniczych fotografii, przedstawiających okrucieństwa niemieckie, a zdejmowanych w Polsce z narażeniem życia właśnie po to, aby mogły być świadectwem prawdy.

Pewien redaktor powiedział nam wprost:

—Nasz czytelnik nie lubi tego typu wiadomości. Już od długiego czasu nie lubujemy się w okropnościach, nie ma dostatecznego powodu, abyśmy zaczęli to czynić obecnie. Mamy dokładną świadomość tego, że wojna jest okrutną rzeczą, ale wystarcza zupełnie, abyśmy o tym wiedzieli ogólnie.

Tak więc wiadomości przychodzące z Niemiec i kontynentu zamykane są w wyobrażenia ogólne i stereotypowe, a obraz rzeczywistości Europy przedstawia się niemal tak, jak każdy obraz wojenny z przeszłości.

Tymczasem to, co się dzieje w Niemczech, jest procesem zupełnie odmiennym i odrębnym i co do jego charakteru nie powinno być żadnych wątpliwości. Czytanie koszmarnych wiadomości o terrorze niemieckim w krajach okupowanych i oglądanie przerażających zdjęć ofiar niemieckiego bestialstwa nie po to powinno być czynione, aby zaspakajać uczucia ciekawości, albo wywoływać litość dla Polaków, ale po to, aby *się uczyć na czym polega różnica pomiędzy tą wojną a wojnami w przeszłości i na czym polega różnica pomiędzy ideałami naszego świata, a ideałami świata niemieckiego.*

Nie dostrzegaliśmy tego, ale tak było: już w latach 1933 — 1939 Niemcy na dobre stworzyli świat absolutnie różny od naszego. A cóż dopiero mówić a latach 1939 — 1943, kiedy krwawa duszność wojny i pasmo wielkich zwycięstw ustokrotniło proces zmian w Niemczech. Tylko ten fakt, że możemy patrzeć na życie niemieckie jedynie z odległości i że wychwytujemy z wiadomości przede wszystkim elementy wojenne sprawia, że prześlepiamy zjawisko najważniejsze: *ugruntowanie się w Niemczech nowego świata pojęć.*

Pewien stary Francuz, długoletni nauczyciel języka francuskiego w szkołach niemieckich, powiedział w r. 1937, gdy rozmawialiśmy o przyszłości Niemiec:

—Istota tego, co nazywamy hitleryzmem zawarta jest w zagadnieniu czasu. Jeżeli Hitlerowi uda się zostać przy władzy przez dziesięć lat, to znaczy do chwili kiedy dwunasto- i piętnasto-latki z r. 1933 dojdą do wieku lat 25, natenczas los Niemiec, jeśli nie los całego świata będzie przesądzony na całe pokolenia. Nawet gdyby później udało się Niemcy rozgromić, a Hitlera zabić, skutek tych dziesięciu lat będzie działał automatycznie w każdym następnym ustroju niemieckim. Hitler bowiem i jego ludzie za najważniejsze swoje od samego początku zadanie uważają rozluźnienie wszystkich wiązadeł dotychczasowych w taki sposób, aby życia nie można było już przywrócić do pierwotnego stanu, choćby przyszły rządy republikańskie albo wieloletnia angielska okupacja wojskowa.

Zagadnieniem najważniejszym współczesnych i przyszłych Niemiec jest zagadnienie młodzieży. Dr. Herman Rauschning w książce p.t. "Hitler mi mówił" notuje zarys planów Hitlera w stosunku do młodzieży niemieckiej:

—"Trzeba mi dziesięciu lat na samą tylko pracę wychowawczą." "Od młodzieży rozpocznę moje wielkie dzieło wychowawcze — mówił Hitler. — My starzy jesteśmy zużyci. Jesteśmy zepsuci do szpiku kości. Zatraciliśmy drapieżne instynkty. Lecz młodzież jest wspaniała! Z nią będę mógł zbudować nowy świat." "Wychowamy taką młodzież, przed którą zadrży świat. Będzie to młodzież bezwzględna, władcza, nieustraszona, okrutna. Odbiorę jej wszelką słabość i tkliwość. Dam jej siłę i piękność młodych drapieżców. Nie chcę żadnego wykształcenia umysłowego."

Mówił to Hitler 10 lat temu. Od tego czasu słowa te nie zostawały pustą zapowiedzią, ale zamieniły się w życie. Zdumiewali się ludzie, dlaczego lotnicy "Luftwaffe," chłopcy po 18, 20 lat kładli pokotem z karabinów maszynowych na polskich drogach w r. 1939 kobiety i dzieci. Zadawano sobie zdziwione pytania, jak mogli młodzi chłopcy z Gestapo zabijać niemowlęta polskie i żydowskie uderzeniem główek o bruk uliczny, albo jak może załoga Gestapowców złożona z 1.500 młodych Niemców w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu dzień w dzień przez całe lata trudnić się mordowaniem w komorach gazowych ludzi, którzy nic nie zawinili.

Odpowiedź jest prosta: to już jest ta młodzież, którą i w "*Hitler-Jugend*" i w "*Ordensburgach*" wychowano na "drapieżców." Ci chłopcy przynależą już do tego świata, który wyrósł przez dziesięć ostatnich lat w Niemczech i trwa tam we wszystkich ludziach, ujętych granicą wieku od lat 10 do 30. Dla nas jest to świat straszny, dla nich świat, który zawiera w sobie słodycz wzniosłego ideału i radość pełnionego obowiązku.

Sądzę, że z niezwykłości swoich czynów w s z y s c y Niemcy zdają sobie dobrze sprawę. W Niemczech istniał głęboki i uporczywy kompleks niższości wobec Anglii. Każdy Niemiec ma wrażony dystans respektu między Anglikiem a sobą, choć się do tego nie przyznaje. Planując zdobycie świata, powiedziano współczesnemu Niemcowi, że trzeba jednak zniszczyć Wielką Brytanię, a w pewnej chwili, już podczas wojny — w dodatku jeszcze i Stany Zjednoczone, które bardzo, choć na inny sposób, imponują Niemcom.

Postawione zadanie wydało się więc zasadniczo trudne, gigantyczne, mówiąc stylem niemieckim: kolosalne — właśnie przez istnienie w duszy niemieckiej tego kompleksu niższości. Z całą pewnością wielu Niemców, gdy po raz pierwszy zetknęło się z "kolosalnymi" planami nowej próby zniszczenia całego świata anglosaskiego dla uczynienia miejsca niemieckiemu porządkowi — obok dreszczu ochoty doznało również czegoś w rodzaju przerażenia.

Lecz ochota przeważyła przerażenie. Powstał olbrzymi spazm buty niemieckiej, która postanowiła ważyć się na wszystko. Istnienie w duszy niemieckiej owego kompleksu niższości wobec świata anglosaskiego, który to uraz kazał każdemu Niemcowi z osobna mieć chwilę oceniającego zastanowienia, spowodował to, że już zupełne porzucenie dotychczasowego świata było w Niemczech zjawiskiem świadomym, powszechnym i obciążającym wszystkich.

Im większe, im trudniejsze, im straszniejsze zadanie, tym drastyczniejsze środki muszą być zastosowane. To oczywiste. Tak powiedziano. I to każdy zrozumiał.

Niemiec zdecydował się te drastyczne środki wobec świata zastosować.

Ale w owej chwili uświadomił sobie w pełni, że wstępuje na drogę bez możności powrotu.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Dwie wizyty



Dnia 29 sierpnia b.r. Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski przeprowadził inspekcję krążownika, świeżo objętego przez Polską Marynarkę Wojenną O.R.P. "Dragon." W czasie pobytu na okręcie Naczelny Wódz dokonał dekoracji kilkunastu marynarzy "Krzyżem Walecznych" za czyny bojowe w czasie akcji pod Dieppe, w osłonie konwoju do Rosji oraz innych działaniach i wygłosił do załogi przemówienie, w którym m.in. powiedział:

"Chciałbym przypomnieć tę prostą prawdę, że stanowicie kadrę, w której ramach nastąpi rozbudowa naszych sił morskich w niepodległej Polsce. Od wartości moralnej i przygotowania fachowego tej kadry w znacznej mierze zależeć będzie dalszy rozwój Polskiej Floty Wojennej."



Dnia 31 sierpnia b.r. Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz odwiedził 1. Dywizję Pancerną, był obecny na ćwiczeniach w terenie i pokazach wyszkoleniowych, przyglądał się pracy żołnierzy łączności, saperów, mechaników w warsztatach. W czasie żołnierskiego obiadu w jednym z oddziałów Pan Prezydent powiedział m.in.:

"Będzie Wam dane szczęście spełnienia obowiązku w walce. Byłbym rad, gdybyście wzięli udział w działaniach rozstrzygających. Jestem przekonany, że będzie Was prowadził rycerski instynkt i że świat będzie nadal świadkiem sławy oręża polskiego. Dane Wam jest posługiwanie się najbardziej nowoczesną zbroją. Będziecie walczyć z nieprzyjacielem na równych prawach i równym orężem."

Ze Lwowa do Francji

II.*

KULE NAD SAMĄ GŁOWĄ

Jakże byliśmy szczęśliwi 13-go września, jeszcze nocą, o godz. 3 min. 20, opuszczając Lwów! Nie dlatego, że tam padają bomby, bo padają wszędzie. Ale dlatego, że zdaje nam się, iż rozwiał się koszmar wyjazdu za granicę. Wśród rozmaitych możliwości i ta była rozważana; istotnie, Generał bardzo by się teraz przydał Polsce we Francji i w Anglii, gdzie tak się z nim liczą. Ale aby działać skutecznie, musi mieć jakieś pełnomocnictwa, a do tego rozmowa ze Śmigłym-Rydzem jest konieczna. Może też inaczej potoczą się zdarzenia, i będzie mógł pożytecznie służyć ojczyźnie w kraju.

Dla Stefczyka i dla mnie, wyjazd — to ostateczność bardzo ciężka. Wszystkie nici osobiste wiążą nas mocno z ziemią rodzinną. Paszportów nie mamy; mój roczny został w biurku w Warszawie — na cóż go miałem brać? Ubrań cywilnych też nie mamy. Generał mógł nam wyrobić paszporty we Lwowie i dostać dla nas wizę rumuńską, ale doprawdy nie umieliśmy się przezwyciężyć i stanąć w ogonku przed konsulatem, wśród zdecydowanych na wyjazd. Generał ma wprawdzie paszport, ale stary i przedawniony, z ostatniej zagranicznej podróży, bez przedłużenia i bez wiz. Odzyskał dobry humor z chwilą, kiedy wykręciliśmy w kierunku frontu, i ciągle marzy o przydziale bojowym.

Jeden Adam Kułakowski nic nie mówi i niezmordowanie prowadzi wóz. Ma niemałą robotę, bo jedziemy bez reflektorów, a na drodze ciągle zatory. To idzie wojsko w kierunku Lwowa, to wojsko, na które tak czeka sztab gen. Sosnkowskiego. Próbujemy zdać sobie sprawę z ilości i rozpoznać oddziały. Zadanie prawie niemożliwe, choć przystajemy ciągle, aby dać czas któremuś z nas pójść naprzód i "odkorkować" drogę.

Wydobywamy się wreszcie na wolniejszy szlak, gdyśmy się oddalili od Lwowa. Jedziemy przez Żółkiew—Mosty Wielkie—Sokal. Generał wie od gen. Sosnkowskiego, że Kwatery Głównej trzeba będzie szukać gdzieś w rejonie Młynowa. W Krystynopolu i Sokalu próbujemy to sprawdzić u oficerów łączności; daremny trud, bo czy nie wiedzą, czy nie chcą mówić. Inaczej zupełnie wygląda ta oś Naczelnego Dowództwa, niż ta, o jakiej nas uczono i jaka bywała dawniej. Robi to jednak wrażenie bezradności przygnębiającej.

Za Sokalem w Opulsku Generał zarządza postój. Wchodzimy do dworku, zajętego przez kadrę oficerów artylerii z Pomorza, zdążającą na wschód za swoim pułkiem. Oficerowie złaknieni są nowin i po prostu rozkazów. Z wielką radością widzą Generała i wysłuchują krótkiego exposé o sytuacji. Za czym skwapliwie ustępują Generałowi dworek i odchodzą do pobliskiego lasu, ku radości gospodyni, która bała się bomb lotniczych z ich powodu.

O godz. 14 Generał każe mi wziąć samochód i zawieźć list do Hrubieszowa, gdzie ma być Szef Sztabu Głównego; jest to czwarta próba porozumienia się z marsz. Śmigłym-Rydzem. Jadę z Kułakowskim. Po drodze kilkakrotnie przystajemy pod drzewami, bo dość gęsto latają samoloty. Niepokoi mnie odgłos dział z zachodu, wyraźnie coraz bliższy.

Jedziemy przez Uhrynów-Dołhobyczów, znaną mi okolicą. Po drodze przepytuję się o możliwość dojazdu tym gościńcem do Hrubieszowa. Zarówno znajomy ziemianin, do którego na chwilę wstępuję i przeczekuję krótki nalot, jak i policjant na motocyklu, jadący właśnie z Hrubieszowa, zapewniają, że droga wolna. Rano jakiś wielki sztab polski był w Hrubieszowie.

Wybieramy najprostszą drogę. Mijamy kolumnę taborów na samochodach. Na skrzyżowaniu naszej drogi z drogą z Mircza zatrzymują nas jakieś furmanki. Żołnierze, niektórzy bez kurtek, całkiem zdezorientowani. Co takiego? W południe jedli śniadanie w lasku, stąd o 5 klm na zachód; napadły ich czołgi niemieckie, i niektórym tylko udało się zbiec. Dokąd mają dalej iść?

Wskazuję im drogę ku Bugowi i postanawiam się śpieszyć. Tymczasem nadciąga ów tabor samochodowy. Z mapą w ręku zaczynam objaśniać dowódcy, o czym się dowiedziałem, gdy wtem — czołgi niemieckie! O jakie 300 metrów wyłania się zza wzgórka wieżyczka i padają pierwsze kule z karabinu maszynowego.

Nie ma już co objaśniać. Wskakuję do wozu; Kułakowski błyskawicznie zawraca. Dostajemy dwie serie kul, ale przenoszą, a my już wśród chałup przed chwilą miniętej wioski. Pędzimy, ile sił w motorze — z powrotem. Po drodze zawracamy ciągnące tabory; przy jednym, większym zgrupowaniu zatrzymujemy się na mgnienie oka. O treści listu wiedziałem od Generała, wyjeżdżając: to rodzaj urgensu w sprawie, o której już trzykrotnie pisał. Nie jest więc koniecznością dostawanie się do Hrubieszowa inną drogą lub szukanie Sztabu Głównego za Bugiem; ważniejsze jest, aby Generał nie został bez środka lokomocji.

Wpadamy do Opulska w momencie, gdy Stefczyk troszczy się o jakąś możność wyjazdu, a Generała namawia ktoś, aby wsiadł do jego samochodu. Z zachodu coraz gęstszy ogień artyleryjski.

—No, już postawiłem na was krzyżyk — powiada Generał. — Już się więcej nie będziemy rozłączali. Ale jaki pan blady!

Nic dziwnego: uniknąłem niewoli. Zdaję sprawę z doskonałej postawy Adama Kułakowskiego przy tym "bojowym chrzcie."

Jedziemy znów przez Sokal i przez most na Bugu. Generał dokonywa przeglądu oddziału, broniącego tej pozycji. Mosty na Bugu podobno już niektóre spalone; ten jest gotów do spalenia. Generał rozmawia z dowodzącym porucznikiem.

—Więc pan generał na naszym czele? Boże, co za szczęście! — mówi mi potem ten oficer. Z przykrością wyprowadzam go z błędu.

Przez Perespę i Stojanów docieramy do Radziechowa. W Stojanowie błogosławi nas staruszek-proboszcz, stojący z grupką parafian przed kościołem. I woła:

—Patrzcie, ludzie! Generał Sikorski z nami!

Nocujemy w Radziechowie, gdzie spotykamy sporo znajomych. Zaopatrujemy się w benzynę, kiełbasę i chleb. Nazajutrz dalej, na bolesne poszukiwanie tego, który powinien być na czele, a od 5 września nawet dla generałów stał się nieuchwytny.

NA SZLAKU JAREMY

14-go września wyjeżdżamy więc o godz. 8 min. 45 i przez Stojanów-Horochów-Beresteczko docieramy do Dubna. Pod Dubnem na długą chwilę zatrzymują nas naloty. W samym mieście spotykamy gen. Litwinowicza, od którego spodziewamy się wreszcie źródłowej informacji. Ale czy nie wie, czy nie chce powiedzieć — dość, że uzyskujemy tylko ogólnikową wskazówkę, w myśl której jedziemy do Krzemieńca. W Dubnie też, pod drzewami na placu, spotykamy p. Korfantową z rodziną. Generał natychmiast pisze kilka słów na bilecie, aby zapewnić schronienie wdowie po zasłużonym działaczu śląskim.

Do Krzemieńca wjeżdżamy o godz. 17-ej. Poprzedniego dnia Krzemieniec ucierpiał od długotrwałego nalotu i wygląda okropnie. Nie zastajemy tu nikogo: ani Naczelnego Dowództwa, ani min. Becka z M.S.Z.-em, ani ambasad i poselstw zagranicznych. Jak poprzednio Nałęczów, tak i Krzemieniec nie był dla dyplomatów cichym schronieniem. W kawiarence, gdzie chwilę popasamy, prezentuje się Generałowi młody ziemianin, tegoż nazwiska i herbu, wędrujący w poszukiwaniu pułku, do którego rezerwy należy. Młodzieniec aż dygoce z chęci walki i pyta o radę. Cóż mu poradzić?

Według otrzymanych, bardzo nieokreślonych wskazówek obieramy drogę na Wiśniowiec do Zbaraża. W tym podobno kierunku ruszyła kolumna Naczelnego Dowództwa. Przybywamy tam około godz. 19-ej i zapewniamy sobie nocleg. Nic innego nam nie pozostaje, bo i benzyny brak już, i nie ma żadnych wieści o tych, których gonimy.

Dopiero 15-go rano widzimy nieskończony ciąg pojazdów wszelkiego rodzaju, ciągnących do Tarnopola. Podobno w nocy przejechał Prezydent Mościcki, ministrowie Sławoj-Składkowski i Kościałkowski. Mimo kwitów ze Lwowa, mamy takie trudności z otrzymaniem benzyny, że Generał musi aż interweniować w starostwie. Opłaca się to pod każdym względem, bo wreszcie dowiadujemy się czegoś, co wydaje się pewniejsze. Wypada wracać do Dubna, ale mniejsza o to, jeżeli cel nasz osiągniemy.

Na drodze kurz, zatory, sznury samochodów. Jadą całe tabory straży ogniowej; na furmankach spotykamy ciągle funkcjonariuszów policji państwowej z rodzinami. Mamy wrażenie, że ta ewakuacja powiększa chaos. Natomiast robimy uwagę, że prawie nie widać ruchu Żydów. W związku z poprzednimi wiadomościami ze Lwowa, wydaje się to prawie znamienne.

Spotykamy i 12 dział przeciwlotniczych, co napawa nas dobrą myślą. Może to działa bezpośredniej obrony Naczelnego Dowództwa? Jedziemy znów przez Wiśniowiec. W Krzemieńcu stajemy koło godz. 9-ej min. 30. W Dubnie jesteśmy w południe.

Tu jeden z generałów kieruje nas na Kołomyję, gdzie — według niego — powinno się znaleźć Naczelne Dowództwo. Spotykamy jeszcze kilku generałów, z którymi na polecenie Generała rozmawiam. Zauważam, że o ile szeregowi i oficerowie, niżsi i wyżsi, na ogół garną się do Generała i cieszą się, sądząc, że obejmie komendę, o tyle wśród generałów panuje chłód albo zażenowanie. Jeden z nich wyraźnie uchyla się od rozmowy z Generałem i dopiero potem się z tego jakby tłumaczy. Inny znów każe mi podziwiać bajeczną jakoby gotowość obronną Dubna i innych kresowych miast, czego nikt z nas dopatrzeć się nie może. Przy najlepszej woli, energii i męstwie ludzi nie ma sprzętu, ani urządzeń obronnych, nie tylko przeciwlotniczych i przeciwpancernych, ale w ogóle żadnych. Bo te na prędce szykowane okopy i zasieki nie na wiele przydać się mogą. Zresztą i garnizoniki są drobne, przypadkowo zestawione.

Wracamy tą samą trasą do Zbaraża, dokąd przybywamy o godz. 22 min. 30, szalenie znużeni. Te dwa dni kręcenia się w kółko za nieuchwytnym cieniem były chyba najbardziej męczące z całej podróży. Nowin prawie żadnych, mnóstwo wszelakiego bałamuctwa. Przejazdy zawalonymi przez uchodźców drogami — ciężkie i trudne. Nawet nasz niezmordowany kierowca ledwo już sobie daje radę.

To też z przyjemnością odpoczywamy chwilę w miejscowym klubie. Zbaraż wygląda wcale dobrze, lepiej, niż inne miasta, któreśmy mijali. Jest jakaś myśl obronna, są zarządzenia, jest z kim mówić. Spotykamy kilku znajomych oficerów, którzy opowiadają wprost cudeńka o ewakuacji. Mamy dobry nocleg w klasztorze.

Dowiadujemy się też, że nazajutrz trzeba będzie jechać do Tarnopola, bo tam rzekomo przetniemy trasę Naczelnego Dowództwa. Zasypiamy w grodzie Jeremiego, ani się domyślając, że dotychczasowe niepokoje są niczym wobec tego, co nas wraz z całym krajem wkrótce czeka.

DZIEŃ GRÓŹB I WRÓŻB

Na skutek prób dowiedzenia się czegoś pewnego przez telefon, wyruszamy ze Zbaraża 16-go września dopiero przed samym południem, wysłuchawszy uprzednio mszy świętej, z jaką przeor wystąpił na intencję Generała. Niebawem dojeżdżamy do zatłoczonego Tarnopola. O tym, żeby dostać pokój w hotelu, mowy nie ma. Jedziemy do województwa.

Generał rozmawia z wojewodą, który robi wrażenie bardzo rozumnego i rzeczowego człowieka. Ten nareszcie mówi, że marsz. Śmigły-Rydz przejeżdżał tu wczoraj, kierując się na południe. Zresztą — wiadomości złe. Rosja rzekomo popiera pretensje litewskie do Wilna i będzie pomagała do ogłoszenia Wilna stolicą Litwy. Idzie ofensywa na Grodno. W Rumunii złoty spadł do 2-ch lei. Rumuni dostarczają Niemcom do 30-tu cystern nafty dziennie i dziwią się, czemu my nie kupujemy. Jak na sojuszniczkę — nieźle.

W małej cukierni, gdzie nam dają coś do zjedzenia, spotykamy adm. Świrskiego. Zawiadamia Generała, że trzy kontrtorpedowce polskie działają w składzie marynarki brytyjskiej. W stanie przygnębienia, w jaki nas poprzednie nowiny wprawiły, staje się to pewną pociechą.

Jest to jakiś dziwny dzień. Podczas jednego z nalotów wyszedłem, aby sprawdzić, czy Kułakowski nie stoi za blisko przy samochodzie, zaparkowanym na skwerze. Spotykam kolegę pułkowego, który mi powiada:

—Słuchaj, nie pamiętam już, kto i kiedy, ale kazano mi powiedzieć ci, jak cię spotkam, abyś się nie martwił, bo wszystko dobrze się skończy.

—Kto ci dał to polecenie?

—Kiedy właśnie nie pamiętam.

Nie jestem przesądny, a do wróżb przywiązuję właściwą wagę. Ale muszę przyznać, że przy akompaniamencie lecących bomb wiadomość ta była przyjemna.

Obok cukierni spotykam znajomą urzędniczkę ze Sztabu Głównego. Widząc mnie, robi wielkie oczy i pyta:

—Jak to? Pan nie w Brukseli?

—A cóż ja tam mam do roboty?

—Przecież na trzy dni przed wojną został pan powołany z powrotem do służby stałej i wyznaczony na attaché wojskowego w Brukseli. Sama pisałam akt w tej sprawie, a pamiętam dobrze, bo myślałam, że jak pan wyjedzie, to mi pan odstąpi swoje mieszkanie.

Nigdy w życiu o tym nie słyszałem. Przecież cały czas byłem w Warszawie. Biegnę o tym zameldować Generałowi.

—E, chyba o kogo innego chodziło — powiada.

Obok Generała siedzi jeden z dawnych adiutantów gen. Sosnkowskiego. Ponieważ wybiera się do Lwowa, więc Generał daje dla gen. Sosnkowskiego różne polecenia. Oficer ten twierdzi, że przed 10-ciu dniami gen. Sosnkowski został mianowany premierem, ale nie wiadomo, czy o tym wie. Cóż to za komedia pomyłek? Przed 4-ma dniami w każdym razie nic nie wiedział. Jeżeli cała łączność jest taka, jak oś Naczelnego Dowództwa, to wszystko może się zdarzyć.

Natomiast nie są pomyłką ciągłe dowody sympatii i zaufania, jakie Generał odbiera, gdziekolwiek się pokaże. Jak gdyby chciano wynagrodzić mu te długie lata, w ciągu których nie dano mu służyć Polsce tak, jak pragnął. Czuje się, że w tej chwili miałby wszystkich za sobą.

Nie zatrzymujemy się dłużej w Tarnopolu, bo Generał chce przenocować na wsi u jednego ze swoich znajomych. Docieramy tam pod koniec dnia. Ale pana w domu nie ma, a ogromny dwór zajęty przez wojsko. Wobec tego wyjeżdżamy w kierunku Trembowli.

Jedziemy pustą drogą wśród rozległych wzgórz. Olbrzymimi falami wspina się ta ziemia. Ma w sobie niewysłowiony urok, bujność i sowitość. Ma także przenikającą melancholię. Nie można oczu oderwać od tego przestrzennego oceanu ziemnego, wzdymającego się na widnokręgu.

Słońce zachodzi nie czerwono, ale po prostu krwawo. Jak gdyby gigantyczna dłoń lała z nieba konwie żywej krwi. Jesteśmy wszyscy pod ciężkim wrażeniem tego zachodu, tak harmonizującego z rzeczywistością. Wyszliśmy na chwilę z wozu, aby zmienić kiszkę. Wtem Stefczyk, tak zawsze spokojny i opanowany, chwyta mnie za rękę z żywymi oznakami wzruszenia:

—Patrz, patrz tam, na słońce! Czy widzisz?

—Gdzie?

—O, tu, pod samą tarczą! Te zygzaki! Przecież to całkiem podpis Generała! . . .

W tej chwili zbliżył się do nas Generał.

—O czym mówicie?

Stefczyk powtórzył. Generał lekko się uśmiechnął:

—Wiecie co? — powiedział — przed paru laty przepowiedziano mi, że w końcu 1939 roku gwiazda moja pójdzie w górę.

—Bo też idzie! — zawołaliśmy obaj.

—Może, ale szkoda, że w tak strasznej dla kraju chwili.

Późnym wieczorem wjechaliśmy do Trembowli. Kwaterujemy u Żyda.

CIOS W PLECY

Nazajutrz, 17-go września rano, otrzymujemy ze starostwa telefoniczną wiadomość o wkroczeniu bolszewików na linię Chorostków-Kopyczyńce-Czortków. Nasi gospodarze wzdychają i okazują nam wiele sympatii, ale nie zdradzają ochoty ruszenia z miejsca. Robi to wrażenie, jakby już poprzednio wiedzieli, co się stanie.

Panuje zupełna dezorientacja. Nie wiadomo, czemu bolszewicy wkroczyli, w jakiej intencji. Przypominamy sobie lwowską rozmowę z gen. Żeligowskim. Ale też — pakt niemiecko-sowiecki.

O godz. 9 min. 30 ruszamy do Strusowa, gnani pogłoskami, że bolszewicy już podchodzą do Trembowli. W Strusowie i wszędzie, gdzie jest sposobność, Generał informuje oficerów o nowej sytuacji. Wszędzie powstaje przygnębienie, ale i chęć odporu.

Za Strusowem, jadąc w kierunku Buczacza, spotykamy podpułkowników Noela i Sokołowskiego w aucie, postrzelanym przez bolszewików koło Kopyczyniec. Była tam potyczka, a raczej napad 3 sowieckich samochodów pancernych i kawalerii na nasze kolumny. Samochód naszych informatorów miał czechosłowackie znaki rozpoznawcze i może dlatego się prześliznął. Ma jednak stłuczoną szybę, a kierowca ranny jest odłamkiem szkła w oko.

Jedziemy do Monasterzysk, gdzie Generał organizuje obronę ze stojącego tam elementu sanitarnego, posiadającego kilkadziesiąt karabinów. W Niżnim, dokąd udajemy się z kolei, Generał zatrzymuje się na moście i wydaje dyspozycje co do jego zniszczenia po przybyciu ciągnącego w tym kierunku naszego oddziału pancernego, który poleca zatrzymać dla obrony. Jedziemy dalej do Stanisławowa, dokąd przybywamy o godz. 14 min. 15.

W Stanisławowie duży ruch. Tu i ówdzie widać już błękitno-żółte, ukraińskie kokardy. Komendant garnizonu potwierdza groźne wiadomości; spotkany oficer dyplomowany powiadamia nas o ultimatum sowieckim dla Warszawy.

Jedziemy przez Nadwórną i Delatyn do Kosowa, gdzie mamy napewno zastać Kwaterę Główną. Zresztą nie mamy innej drogi. Mimo tragizmu położenia, nie możemy oprzeć się zachwytowi wobec cudnych widoków, roztaczających się, jakby na nasze pożegnanie z ojczyzną, po obu stronach szosy. Wsie są spokojne i senne, ludność życzliwa i nie zdradzająca ani wrogiej postawy, ani nawet zbytniego niepokoju. Wszędzie jeszcze sporo letników. Tylko w wielu miejscach widać przygotowania do obrony, prawdopodobnie zaimprowizowane dzisiaj. Ciężko pomyśleć, że obrona ta jest co najwyżej przewleczeniem agonii.

O zmroku dojeżdżamy do Kut.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

* Por. nr. 35 "Polski Walczącej" z b.r.

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2391 książek

Armia Polska na Wschodzie

II.*

Dostać się do Armii Polskiej można dwiema drogami: koleją i samochodem. Tak w jednym jak i w drugim wypadku droga prowadzi przez pustynię. Podróż koleją jest bardziej przyjemna. Kolej iracka jest to coś pośredniego między normalną koleją europejską a wąskotorówką. Wagony jednak, szczególnie I kl. są bardzo wygodne. Każdy pasażer na noc dostaje trzy miejsca, może się więc położyć i wypocząć po całodziennej bieganinie po Bagdadzie. Kto jest bardziej wrażliwy na niską temperaturę irackich nocy zimowych, może za stosunkowo wysoką opłatą otrzymać pościel i dobre wełniane koce. Jednym słowem Europa jak się patrzy.

Jazda samochodem jest bardziej romantyczna, powiedziałbym — bardziej "bajkowa." Najbardziej charakterystyczną cechą tej jazdy jest to, że się nie jedzie drogą, lecz na przełaj — przez pustynię. Jest to bodaj najbardziej historyczny szlak dziejowy /z Bagdadu szlak ten prowadzi na północny wschód/. Tędy szły wszystkie najazdy Asyryjczyków, Persów, Mongołów na Zachód. Tędy szedł jedyny rewanż Europy — pochód Aleksandra Macedońskiego do Indyj. Jest to więc tradycyjna trasa, wydeptana kopytami koni i wielbłądów, niczym niewytknięta, uświęcona jednak tysiącletnią świadomością, że tędy należy jechać. Szlak służył dobrze, dopóki nie było samochodów. Ten środek lokomocji, jako bardziej wybredny, szuka lepszych warunków posuwania się, toteż nieraz trzeba zjeżdżać na kamieniste połacie i lawirować między najrozmaitszymi formami terenu. Teren tej części pustyni to istny labirynt pagórków, stożków, kopców, grzbietów i grzbiecików, jarów i wąwozów zupełnie martwych.

Gdy samochód posuwa się po tych wertepach, ciągle musi albo wdrapywać się na wzniesienia albo na łeb na szyję zjeżdżać w dół. Pasażerowie są ciągle rzucani albo ku tylnej barierze /mowa o ciężarówce/ albo tworzą zbitą masę ciał obok przedniej ściany. Szofer ciągle musi uważać na kierunek. Zupełnie jak na morzu. Nie darmo wielbłąd został nazwany "okrętem pustyni."

Gdy spadnie deszcz, nawet najbardziej drobny, pustynia przeistacza się w jedno wielkie, grząskie, gliniaste błoto, z którego z największym wysiłkiem wyciąga się nogi. Wtedy wszelka komunikacja ustaje. Jednak nawet po największych ulewach woda spływa niezmiernie szybko, przez kilka godzin zamieniając wszystkie jary i wąwozy w koryta rwących potoków o żółto-brunatnej wodzie. Wystarczy następnie kilka godzin słońca i pustynia przybiera swój codzienny wygląd. Zwietrzałe na słońcu skały — popękane i poczerniałe od wieków, tłusta, także popękana glina, przykryta warstwą kamieni, między którymi usiłuje rosnąć nędzna trawa — oto jej odwieczne oblicze. W porze deszczowej cały krajobraz jest z lekka pociągnięty na zielono.

Pierwsze promienie wiosennego słońca jednak od razu zabijają tę zieleń i znowu cała pustynia jest martwą i straszliwą krainą, w której panuje głucha cisza. Tradycja szoferska, co prawda nie tak dawna jak końska lub wielbłądzia — zdążyła jednak "wypracować" coś w rodzaju nowego szlaku samochodowego. Szlak ten nikogo nie obowiązuje i jeżeli ktoś zechce jechać, gdzie mu się będzie podobało, ani policja ani właściciele prywatnych gruntów nie będą stali na przeszkodzie. Policja iracka — *nota bene* posiadająca prześliczne konie arabskie pełnej krwi, wyhodowane w dolinach Tygrysu i Eufratu — jest do spraw bardziej ważnych, na przykład od tego, że ktoś kogoś zarżnął w jakimś osiedlu /na pustyni bowiem można faktycznie zarzynać bezkarnie/. Ziemia zaś jest własnością Ałłacha, jak u nas w IX lub X wieku była — Boża. Właścicieli gruntów na pustyni nie ma.

Niemniej skracanie drogi lub szukanie nowej jest niebezpieczne. W pustyni bowiem, a właściwie w tym martwym labiryncie skał można nadzwyczaj łatwo zbłądzić. Jeżeli zaś nie ma dobrego uzbrojenia a traf napatoczy "pastuchów" uzbrojonych w potężne noże, to nie wiadomo, jak może się skończyć taka wycieczka.

Wreszcie jednak po kilkudziesięciu kilometrach podróży dojeżdża się do rzeki Diyala, którą przekracza się wąskim mostem dostosowanym do ruchu kołowego i kolejowego. Przez jezdnię tego mostu z jednakową łatwością przejeżdża lokomotywa iracka, przebiega osioł i wielbłąd, więc i samochód może przejechać. W tym punkcie, jakkolwiek by się jechało, trzeba się pogodzić z "szoferską trasą," bo inaczej nie da rady sforsować głębokiej rzeki o wartkim nurcie, urwistych a nieraz spadających pionowo do wody brzegach.

Rzeka jest piękna. Z mostu widać, jak niekończące się gaje palm i ciemnych cyprysów ciągną się w dal, w której ciemno-zielone korony liści przeistaczają się w niebiesko-szarą linię. Kończy się ona gdzieś daleko za załamaniem rzecznej doliny.

Za rzeką zaczyna się dość dobra, asfaltowa szosa. Samochód po wertepach i wąwozach poprzedniego odcinka z ulgą wjeżdża na jezdnię. Niebawem ukazuje się malownicze, prowincjonalne miasteczko arabskie Ba'Quba, tonące w palmach i cyprysach. Tuż jest stacja kolejowa o tejże nazwie. W miasteczku — w przydrożnej karczmie — można się napić herbaty i kupić owoców oraz arabskich żytnich placków, zastępujących wszędzie na Wschodzie chleb, który w postaci europejskiej nie jest znany.

Razu pewnego jechałem z Bagdadu do Dowództwa Armii. Samochód po ciężkiej pracy stanął i ani rusz nie chciał jechać dalej. Czekając na naprawę, poszedłem zwiedzać stary meczet liczący ponad ośm stuleci. Słyszałem o nim jeszcze w Bagdadzie. "Stróżem Ałłacha" w tym meczecie jest stary Arab-uczony.

Długo szedłem skrajem brzegu rzeki wśród cyprysów i palm. Wreszcie meczet. Budynek z jedną kopułą wrósł w ziemię, na dwa metry, o tyle bowiem podniósł się grunt przez te osiem setek lat. Tuż przy świątyni stoi minaret całkowicie pokryty zieloną mozaiką, jego kopuła ma fioletową, granatową i żółtą polichromię. Minaret wznosi się na wysokość trzech pięter, mimo że jego średnica nie przekracza dwóch metrów. Wspaniała budowla. Na spotkanie wyszedł mułła — wspomniany Arab-uczony. Rozmowa potoczyła się łamaną angielszczyzną.

—"*Polonizi*?" /Polak?/ — spytał Arab.

—"*Polonizi*."

—"Jeśli ty myślisz, że jesteś tu pierwszym Polakiem, to się mylisz. Tu przed tobą był generał Bem." — Widząc moje osłupienie Arab dodał: — "Generał tu zawsze przyjeżdżał do mego pradziada, gdy robił inspekcję tureckiej artylerii w Bagdadzie . . . Lubił polować . . . Ponieważ generał przestał być niewiernym i przyjął wiarę Mahometa . . . nieraz modlił się w tym oto meczecie . . . Zostawił tu swój znak . . . Możesz go obejrzeć . . . Przedtem zdejm buty i włóż te oto pantofle . . ." — Arab wskazał głową na stare trepki leżące przed wejściem do świątyni. — "Wrzuć najpierw 100 filsów do skrzynki." /1000 filsów równa się jednemu dinarowi. Dinar jest zrównany z angielskim funtem/.

Weszliśmy do meczetu. Ściany pokryte mozaiką i wypisami z Koranu wykonanymi emalią. W jednej nawie zobaczyłem skrzynkę, a w niej polskiego orła — świadka bitwy pod Ostrołęką i obrony Woli . . .

Długo staliśmy w milczeniu . . . Wreszcie mułła powiedział:

—"Chodź — pokażę ci jeszcze coś . . ." Gdy weszliśmy mułła wskazał mi na minaret — "Ta wieża ma tylko czterysta lat. Została zbudowana później, za czasów sułtana Sulejmana. Uważaj, jak zaraz zacznie się kołysać i śpiewać."

Istotnie, gdy niebawem zjawił się lekki powiew wiatru i palmy zaszumiały, minaret zaczął się kołysać jak sosna w wysokopiennym lesie. Równocześnie z koronkowej framugi i rzeźb zaczęła się wydostawać jakaś nieuchwytna melodia podobna do dalekiego śpiewu.

—"Ten minaret kołysze się i śpiewa oto już 400 lat" — z dumą powiedział starzec. "No, teraz idź . . ." — Starzec podniósł rękę i wyciągnął wskazujący palec do góry, co oznaczało błogosławieństwo. /Palec podniesiony w górę oznacza, że Ałłach jest jeden, a Mahomet jego jedyny prorok/. — "Nie zapomnij opowiedzieć to wszystko swoim i powiedz, że przed wejściem do meczetu trzeba włożyć do skrzynki sto filsów."



Droga przez pustynię

Dzień ten był dla mnie jednym z najmilszych w czasie pobytu na Wschodzie. Wreszcie samochód naprawiono i pojechaliśmy . . .

Za oazą Ba'Quba ciągnie się ta sama pustynia na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Lecz oto znowu ukazuje się piękna na zewnątrz oaza palmowa, pośrodku której mieści się osiedle. Jest to stara arabska osada X . . . tonąca w krzewach i palmach do tego stopnia, że nie widać nawet zabudowań. Tak zresztą jest dobrze, przynajmniej nic nie psuje wrażenia.

Zakręt szosy i raptem na tle glinianych wysokich murów, krzewów orzechowych i palm ukazuje się sylwetka polskiego żandarma. Żandarm stoi na straży umowy "handlowej" między Rządem Królestwa Iraku a Dowództwem Armii Polskiej, polegającej na tym, że w rejonach zakwaterowania polskim żołnierzom naszym w ogóle nie wolno nabywać czegokolwiek do jedzenia, zaś Arabom sprzedawać. Umowa ta została zawarta z tego powodu, że kraj jest biedny, środków żywności jest mało, zaś raptowny napływ kilku dziesiątków tysięcy ludzi do obszaru, na którym jest zaledwie kilka osiedli może spowodować podniesienie cen, oraz głód wśród miejscowej ludności. Ponieważ jednak trudno jest ustrzec, aby żołnierze przebywający w miasteczkach nic w nich nie kupowali, zabroniono w ogóle wchodzenia w ich obręb. Pilnować tego jest głównym zadaniem naszej żandarmerii. To też "na wszelki wypadek" żandarm notuje numer samochodu.

Teraz samochód mknie po równinie, częściowo zasianej, częściowo pokrytej dużymi gajami palm. Parę kilometrów i wóz nagle wjeżdża na duży gwarny plac z rzadka otoczony niskimi budynkami o płaskich dachach i morzem namiotów. Po środku placu na wysokim maszcie powiewa polska chorągiew. Jest to główny plac położony w środku m.p. Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie. Dokoła kipi życie żołnierskie.

Duża biało-czerwona flaga hardo łopocze jakby mówiąc: "Jestem tu, lecz niebawem pójdę na Zachód — do Polski." Na jednym z budynków — pierwszym od strony zachodniej powiewa mniejsza flaga, postrzępiona i wyblakła. Pamięta czasy Buzułuku. Powiewa ona na budynku kwatery polowej Dowódcy Armii — generała Andersa.

Budynków takich jest mało, mniej więcej tyle ile palców na jednej ręce, może nieco więcej. W budynkach prócz kwatery polowej Dowódcy Armii mieszczą się: kwatera, a zarazem pomieszczenie służbowe szefa Sztabu Armii — gen. R., Kuria Biskupia i najważniejsze elementy Sztabu Armii oraz Brytyjska Misja Wojskowa, nad którą powiewa flaga Zjednoczonego Królestwa. Mniej ważne oddziały oraz służby, a także oddziały przydzielone organizacyjnie do Sztabu mieszczą się w namiotach.

Jest ich całe miasto, posiadające place, ulice, zaułki . . . Ulice są wyciągnięte w proste linie, posiadają rynsztoki i białe kamienie na rogach. Po obu stronach tych swoistych ulic ciągną się namioty, jeden przy drugim, zazębiając się sznurowaniem. Namioty są bardzo dobre, z potrójnego płótna i nie przepuszczają ani wody ani promieni słonecznych. Jedyną wadą ich jest to, że w czasie pustynnych burz piaskowych, nawałnice "hamsunów" z łatwością zrywają ciężkie brezentowe płachty i rzucają nimi w powietrzu jak lekką bibułą. Wtedy nieraz lokatorzy namiotu muszą stać na zewnątrz od strony wiatru i nadstawiając plecy pod uderzenia piasku, ze wszystkich sił trzymać "swą kwaterę," bo może polecieć i zniknąć bez śladu w piaskowym piekle. Na to jednak nie ma rady, wiadomo, namiot nie budynek . . .

Namioty tworzą miasteczko, które jednym bokiem tuli się do ostatniego od strony zachodniej gaju palmowego, należącego do kompleksu oazy X . . . , z pozostałych trzech stojąc otworem dla niespodzianek i kaprysów Pustyni. Razem przestrzeń zajęta przez Dowództwo Armii zajmuje około dwóch kilometrów kwadratowych, oczywiście wliczając w to rejony zajęte przez oddziały sztabowe, place zbiórek, parki, kuchnie i t.d.

Wjeżdżając po kilkugodzinnej podróży po pustyni, człowiek jest nieco oszołomiony tym ruchem, który tu się rzuca w oczy. W parkach przy maszynach pracują mechanicy. Dalej widzi się ćwiczące oddziały. Z namiotów dochodzi stuk maszyn do pisania. Wszędzie dużo gońców, wartowników, żandarmerii. Wszystko to pracuje spokojnie i poważnie. Jest to drobna część rdzennej Polski, rzucona w tę bezkresną pustynię. Czuje się, że ta część narodu w spokoju, rzetelnie przygotowuje się do ostatecznej rozprawy.

W pustyni postój wojska jest przywiązany do dwóch rzeczy: wody i komunikacji. Jeżeli jest kolej można się obejść bez szosy i odwrotnie. Wody jednak w pustyni nic nie zastąpi. Ponieważ jednak szosa, o której już była mowa urywa się w rejonie oazy X . . . , skutkiem czego w czasie pory deszczowej i bezpośrednio po niej wojsko nasze jest odcięte od stolicy kraju, miejsca postojów poszczególnych oddziałów grupują się tam, gdzie jest i kolej i rzeka. Takim rejonem jest rejon postoju Dowództwa Armii i przylegające okolice. Tu bowiem przepływa w pobliżu dopływ Diyali — urocza rzeka Halwand. Niedaleko do zwietrzałych wzniesień przytula się stacyjka X . . . W tym więc rejonie skupiła się część naszego wojska.

Gdy się wyjedzie z rejonu Dowództwa Armii w kierunku wschodnim i wjedzie się na jakiś grzbiet lub wzniesienie, roztacza się dokoła niecodzienny widok: jak okiem sięgnąć, wśród falistych żółtawo-piaskowych połaci, a w porze deszczowej z lekka podcienionych na zielono, ciągną się namioty. Namioty ciągną się całymi kilometrami. Za jednym rzędem widać następny, za nimi znów inne. Czasami rzędy zlewają się w białawe pasy, które pod dyktando terenu następnie rozbiegają się na cieńsze linie. Czasem te szeregi i rzędy giną w "martwych polach," aby znów ukazać się na jakimś zboczu lub grzbieciku. Wreszcie daleko, daleko na horyzoncie widać długie białawe smugi, biegnące gdzieś w nieznaną dal. To także są polskie namioty.

Czasem namioty podchodzą pod samą szosę. Wtedy widać wzorowo uporządkowane szeregi. Szeregi grupują się w głąb. Wszystko jest doskonale wyrównane i ukształtowane w karne prawidłowe formy. OPL nie jest tu brane pod uwagę. Jest to zbędne. Przed namiotami, starym, pięknym zwyczajem polskim, z różnokolorowych kamyków ułożono rozmaite stylizowane ornamenty, w których orzeł polski oraz sylwetka Polski w granicach 1939 roku zajmują pierwsze miejsce. Wśród rzędów namiotów można dostrzec długie, a ostatnio bardzo długie szeregi czołgów, samochodów i dział na potężnych kołach z lanej gumy, ustawionych w karnym ordynku. Wszystko to jest pomalowane na jasno-piaskowy kolor — kolor pustyni. Gdy się przejeżdża obok "kawaleryjskich" oddziałów, nad namiotami widać powiewające proporczyki naszych ułańskich i szwoleżerskich pułków, buńczuki i skrzydła husarii. Tradycja tam jest pielęgnowana.

Samochód mknie szybko po dobrej szosie. Rzędy namiotów znikają, kryjąc się w załamaniach terenu. Smugi na horyzontach szarzeją i zlewają się z tłem. Wreszcie znów posterunek żandarmerii i zaczyna się martwa i groźna cisza pustyni. Pierwszy /nazywam to dowolnie/ rzut Armii Polskiej na Wschodzie znikł już, jak miraż.

Po obu stronach szosy biegną tym razem prastare, podobne do księżycowych — kratery wygasłych przed milionami lat wulkanów. Kratery są zasypane pyłem setek stuleci i zniekształcone późniejszym ruchem górotwórczym. Nasz polski krajobraz powstały w epoce polodowcowej, liczący dopiero 20 — 30 tysięcy lat jest dzieckiem w porównaniu z tym starym, zgrzybiałym i złowrogim w swej starości i zgrozie widokiem umarłej krainy.

Od czasu do czasu szosa wznosi się po łagodnych stokach nieznacznych fałd i wtedy na dziesiątki kilometrów roztacza się ten cmentarz ziemi. Zniekształcone kratery, stożki, piramidy o dziwacznych kształtach — powstałe na skutek zderzenia się granitowych fałd w czasie kurczenia się skorupy ziemskiej: wszystko to napawa duszę smutkiem i lękiem. Powierzchnia tych upiornych form terenowych jest także pokryta warstwą kamieni i rumowiskiem skalnym. Między kamieniami w czasie deszczów, nieśmiało przebija rzadka trawa, która, gdy na wiosnę promienie słoneczne staną się nieco silniejsze — natychmiast więdnie. Tymczasem, korzystając z tej ubogiej zieleni, uzbrojeni w noże pastuchy wyprowadzają swe czarne barany, które wśród kamieni z trudem wyciągają wargami źdźbła trawy.

ARNOLD JASKOWSKI

* Por. część pierwszą druk. w nr. 33 "Polski Walczącej."

W obronie czystości słownictwa

Było to w roku 1917 we Francji. Zapytany o zawód, ochotnik Polak z Ameryki odpowiedział: "Runowałem na inziaju w maszynczapie." Jednak po półrocznym pobycie w 1-ym pułku strzelców gen. Hallera, ten sam żołnierz mówił już poprawnie po polsku. Było to zresztą jego ambicją.

Inny ochotnik, z francuskiej Legii cudzoziemskiej, zwykł był mawiać: "Dyrekcja na czarną kabanę," albo: "Bon, panie szef de pies." Ale i ten, gdy sam został działonowym /*chef de pièce*/, pienił się, gdy mu kto wszystkich części działka piechoty nie umiał wyliczyć po polsku.

To też dziwne się wydaje, że dziś, gdy na przeszkodzie rodzimemu słownictwu nie stoi wiekowa niewola, gdy tylko cztery lata dzielą nas od okresu, w którym Siły Zbrojne posiadały ustalone na wszystko nazwy — że dziś właśnie operujemy słowami w rodzaju: "*fighter*," "*destroyer*" czy "*tank*." A jeszcze gorzej jest, gdy się takie "anglezowanie" polskiego słownictwa propaguje. Mamy na myśli artykuł p. K. Zbyszewskiego: "Nie obawiajmy się słów angielskich" w nr. 33 "Wiadomości Polskich." Trudno zgodzić się z autorem w jego poglądach. Co zaś do wywodów, to nie bardzo przemawiają do przekonania.

Nieścisłe jest, że w Polsce maszt chciano nazwać dyszlem, a reję orczykiem. Nieścisłe jest też, że Anglicy okręty podwodne nazywają "U-boat." Terminu tego używają oni tylko dla określenia n i e m i e c k i c h okrętów podwodnych /jako imię własne/. Tak samo mówi się "E-boat" albo "Messerschmitt." Nie znaczy to jednak, aby angielskie okręty podwodne, ścigacze czy samoloty nazywano "U-boatami," "E-boatami" i "Messerschmittami." Na to są nazwy: *submarine*, *motor-torpedo-boat* /M.T.B./, *motor-gunboat* /M.G.B./, i nazwy własne poszczególnych typów brytyjskich samolotów. Tylko część prasy polskiej powtarza bez zastanowienia termin "U-boat," choć jeśli już chce go koniecznie używać, to powinna stosować pisownię niemiecką: "U-boot."

Zgoda, że kontrtorpedowiec nie jest terminem polskim. Można by go zastąpić dosłownym tłomaczeniem: "niszczyciel." Ale cofać się do terminu zupełnie nam obcego "*destroyer*," to to samo co nazywać Siły Zbrojne "*Wehrmachtem*," a przesmyk — "*defilé*." Już i tak często zapomina się, że istnieją słowa polskie, jak natarcie, umocnienie, nawierzchnia, załoga, prostownik . . . Czyż namiot mamy znów nazywać "pałatką" lub "celtem"?

Wodno-samolot część prasy polskiej uporczywie zwie hydroplanem, choć hydroplan nigdy nie latał, bo jest to przyrząd pływający, poruszany śmigłem. "Hydroplanować" znaczy ślizgać się po wodzie przy pomocy silnika. Termin "hydroplan" — zamiast wodnosamolot — powstał z wypaczenia cudzoziemskiego słowa "hydroaeroplan," przez niebaczne opuszczenie zasadniczego pierwiastka "aero." Oto do czego prowadzi nieprzemyślane przyswajanie wyrazów obcych: do zatracenia ich zasadniczego sensu. To też latający hydroplan jest takim samym nonsensem, jak pływająca lokomotywa.

Bywali ludzie, którzy na samochód mówili "auto" a na sklep tytoniowy "trafika." Nie dowodzi to bynajmniej, że mieli rację. A przykładem, że własne przemyślane słownictwo samoczynnie usuwa obce naleciałości, jest choćby polskie słownictwo kolejowe. Na drogach żelaznych Rzeczypospolitej skończono już dawno z wekslowaniem, szybowaniem, centralizowaniem, i t.d. Mówi się przetaczać, ześrodkować, zwrotnica, wiązar, żóraw, zderzak, sprzęg, obrotnica. Wszystkie te słowa powstały po roku 1922-im, a mimo to przyjęły się powszechnie.

Jeśli nie można tego samego powiedzieć o terminologii morskiej, opracowanej bardzo starannie pod przewodnictwem profesora Adama Kleczkowskiego w Krakowie — to przyczyną jest nie brak odpowiednich wyrażeń, ale słabe pojęcie społeczeństwa polskiego o sprawach morskich. Powtarzano bezmyślnie zapożyczone terminy obce, dlatego, że nie znano własnych. Jednakże zarówno w Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej, jak i w Państwowej Szkole Morskiej słownictwo było ustalone.

Jeśli pewna część prasy polskiej przez nieświadomość, niedbalstwo i niechlujstwo pisała jeszcze "personal," "szpera," "marka," "separatka" czy "gilza," to były to już ostatnie przebłyski zamierającej gwary z okresu zaborów. Ta sama kategoria ludzi upiera się dziś przy terminie "armia," zamiast Wojsko, lub gorzej — zamiast Siły Zbrojne /Wojsko, Marynarka, Lotnictwo/. Są to ostatni Mohikanie, którzy, ufajmy wyginą już niedługo.

Gdybyśmy dalej mieli rozumować kategoriami p. Zbyszewskiego, to z każdym nowym sojuszem musielibyśmy przyswajać sobie słownictwo nowego sojusznika. Dziś mówić "fajter" i "intruder," a jutro w Wolnej Francji — "szaser" i "harceler." Z Rosji przyjęlibyśmy termin "szturmowik," a może i "politruk." Po federacji z Czechami, zamiast długiego, polskiego terminu "hamulec bezpieczeństwa," przyjęlibyśmy znacznie krótszy "zachranna brzda." Gdyby zaś Japonia przeszła do naszego obozu, wołalibyśmy "banzaj," boć to przecież i ładniejsze i krótsze od naszego "niech żyje."

Dodajmy do tego pisownię i wymowę. Wyobrażamy sobie rodaków w Kraju, przyswajających sobie tajniki języka angielskiego . . . Aby im to ułatwić zaczniemy na wzór naszych wschodnich sąsiadów udźwiękawiać pisownię na sposób dostępny uchu i oku szerokich mas. I będziemy pisać jak Rosjanie: "Wejweł," "Gułł," "Czercził," "Edinbro," "fler," "majnlejer," "ejrmarszał" i "konżugejtor." Nie będziemy mieli prawa się dziwić, jeśli rodacy w Kraju odeślą nas do angielskiego "asylum," jako że to znacznie lepszy termin od długiego "zakład dla obłąkanych."

Nie wiem, czy autorowi artykułu znana jest historia rosyjskiego słownictwa morskiego. Otóż Piotr Wielki długo czekał, aż jego admirałowie je stworzą. W końcu zniecierpliwił się, zamknął ich w pokoju na klucz i oświadczył, że nie da jeść i nie wypuści, póki nie przedstawią mu gotowego słownika. Głodni i przestraszeni admirałowie przepisali wówczas żywcem "Holenderski Słownik Morski," zmieniając tylko czasem końcówki lub wymowę. To też do dziś dnia marynarka rosyjska używa takich miłych wyrażeń jak "rangout," "szpangout," "bom-bram-stenga," "bakort," "szturwał," "szturman," "szpilszpaki" i t.d.

Chwalić Boga, język polski nie jest aż tak ubogi. I choć zgodzić się można z p. Zbyszewskim, że niektóre słowa o cudzoziemskim pochodzeniu zyskały sobie prawo obywatelstwa, to jednak nie widzimy powodu do wytwarzania nowych, "sezonowych" naleciałości, a tym bardziej do zastępowania utartych terminów polskich — angielskimi.

Nikt nas nie zamknął na klucz i nie każe nam się śpieszyć, gdy o nowe terminy chodzi. Znajdą się i one. To też baczmy, abyśmy nie upodobnili się do admirałów Piotra Wielkiego. Bo stać nas z pewnością na więcej, niż na "szpilszpaki," "grajcarki," "fajtery," i "runowanie w maszynczapie."

Autor artykułu pisze: "Nasi puryści językowi są to ludzie mało oczytani i niechętnie czyniący użytek ze swych klepek mózgowych." Nie jest widać w zgodzie ze swym redaktorem naczelnym, który tak często i w sposób raczej napastliwy wytykał publicznie innym "niechlujstwo językowe." Przesada w jakimkolwiek kierunku nie jest rzeczą pożądaną, nawet gdy wypływa z dobrych chęci. Dobrymi chęciami już nieraz wybrukowano piekło. A Polacy, to nie tylko "nie gęsi," ale też nie papugi.

JULIAN GINSBERT

Rozmaitości wojskowe

Sukcesy rosyjskie są ważne nie tylko z powodu wpływu, jaki mają na ogólną strategię Sprzymierzonych, ale także dlatego, że uwydatniły słabość armii niemieckiej, i to słabość bezwzględną.

Zaczęło się od ofensywy zimowej Sowietów. Potem przyszedł 1500 milowy pościg Montgomery'ego za Rommel'em zakończony zniesieniem 200.000-nej doborowej armii — głównie niemieckiej — w Tunisie. W roku 1942 sowieckie uderzenie wiosenne pod Charkowem, które miało ubiec i opóźnić ofensywę niemiecką, sparaliżowało wprawdzie chwilowo Niemców i przesunęło ich ofensywę letnią o drogocenne dwa miesiące, ale potem Niemcy nie tylko z łatwością odebrali Charków, ale "przejechali się" po armii sowieckiej głęboko w Kaukaz, z tą samą oszałamiającą szybkością, jaka charakteryzowała ich wszystkie dotychczasowe podboje. W roku bieżącym role jak gdyby się odwróciły. Niemcy rozpoczęli ofensywę w Rosji, aby ubiec i opóźnić atak sowiecki, a kontrofensywa nie tylko złamała ich siłę uderzenia, ale wyparła Niemców z potężnie bronionej fortecy Orzeł i z Charkowa. Skoro więc nawet niemiecka ofensywa letnia spala na panewce, to niewątpliwie "psuje się coś w państwie duńskim."

Morley Richards, korespondent wojskowy "*Daily Express'u*" omiawiając tę zadziwiającą słabość armii niemieckiej odpowiada na cztery pytania: 1/ jaki jest obecny stan "Wehrmacht'u"? 2/ jakie są jego plany? 3/ kim są jego przywódcy? 4/ jacy ludzie obalą Hitlera i zaczną targować się o warunki pokojowe?

Ad 1/ stwierdza przede wszystkim, że choć pozornie liczebność armii niemieckiej nie doznała uszczuplenia, to jednak jakość żołnierza znacznie się pogorszyła — nie mówiąc o takim zaciężnym wojsku, jak Słowacy, Alzatczycy, Kroaci, Czesi, Holendrzy i wielu innych. Co jednak ciekawsze dywizja pancerna, która liczyła 450 czołgów idzie dziś do ataku, mając ich zaledwie 160. Cały szereg dywizji składa się z dwu pułków i liczy nie więcej jak 7-8000 ludzi, zamiast 12.000. Także jakość i rozmaitość broni poważnie się zmniejszyła. Dotyczy to szczególnie dział, w których Niemcy mają poważne braki, tak że często używają czołgów jako artylerii. Jest to wynikiem początkowego nastawienia przemysłu niemieckiego na "Blitzkrieg" t.j. na produkcję głównie czołgów i bombowców nurkujących, której nie umieli widocznie w porę zahamować i przestawić.

Ad 2/ Nie widać zarysu żadnego planu ofensywy. Nawet propaganda niemiecka nastawiła się ostatnio na zachwalanie strategii obronnej.

Ad 3/ Generałowie, którzy po ostatniej wojnie zrzucili winę za przegraną na "uderzenie nożem w plecy" i którzy w ten sposób starali się zamaskować klęskę militarną, są dzisiaj znowu panami sytuacji. Bardzo zręcznie wymanewrowali oni Hitlera na czoło i przygotowali teren pod nowy "trick," który ma ich uniewinnić wobec świata i wobec narodu niemieckiego od odpowiedzialności za jeszcze jedną klęskę.

Ad 4/ Oni — generałowie niemieccy — jak w 1918 r., albo sami, albo przez podstawionych cywilów, obalą Hitlera i rozpoczną pertraktacje pokojowe oraz . . . plany nowej wojny.

* * *

W związku z powyższym, warto przytoczyć znamienne uwagi na temat składu armii niemieckiej, podane w artykule "*Soviet War News*" p.t. "*Wehrmacht diluted.*" Stwierdzają one, że trzy czwarte dywizji niemieckich znajdujących się w pierwszej linii na froncie rosyjskim, jest mocno przesianych żołnierzami nie-niemieckiego pochodzenia: Polakami, Czechami, Austriakami, Francuzami z Lotaryngii i t.d. Ilość tych nie-niemieckich żołnierzy ocenia się w poszczególnych dywizjach na 5-30%. N.p. 30% 38-ej i 15-tej dywizji piechoty to Polacy i inni nie-Niemcy. W 39-tej dywizji piechoty 30% stanowią Austriacy, a 20% podobno Polacy. "Czysto aryjskie" są tylko dywizje czołgów i rezerwa naczelnego dowództwa.

* * *

Bardzo ciekawy artykuł — który i dla Polaków zawiera naukę i morał — ukazał się 7.8.43 w "*Times'ie*" p.t. "*The Army after the War.*" Autorem artykułu jest poseł do Izby Gmin, Col. J. R. J. Macnamara. Oto główne jego tezy.

Przedwojenny stan armii angielskiej był opłakany. 218.000 regularnego żołnierza — przy zobowiązaniach olbrzymiego Imperium — to naprawdę niewiele. Tak niewiele, że trzeba było zimnej pewności siebie, bezwzględności i zdecydowania Anglików i bardzo wiele wytężonej pracy i inteligencji, aby z beznadziejnej, zda się, sytuacji 1939/40 roku wywindować się do dzisiejszego poziomu. To nie może się powtórzyć. Anglia musi mieć po wojnie armię, która siłą i wyszkoleniem będzie stała na wysokości zwiększonych powojennych zadań i zobowiązań.

Col. Macnamara proponuje wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej skombinowanej ze służbą pracy. Ochotnicza armia istniałaby jednak nadal i rekrutowałaby się z tych, którzy przeszli obowiązkową służbę. Jej przeznaczeniem byłaby służba w koloniach.

Najwięcej miejsca jednak poświęca autor sprawie szkolenia oficerów. Proponuje, aby kadeci marynarki, wojska i lotnictwa szkoleni byli wspólnie w jednej szkole. Cały szereg przedmiotów oraz zaprawa fizyczna byłyby wspólne. "Nie widzę powodu, dla którego wszyscy nie mieliby się uczyć wspólnie wioślarki, żeglowania, nawigacji, szoferki, marszu, jazdy konnej, spadochroniarstwa, obserwacji lotniczej a nawet pilotażu. Gdy młody oficer zostanie w ten sposób przeszkolony nie powinien ani osiąść na laurach ani czuć rozczarowania i zawodu. W wieku lat 23-24 powinien zostać przeniesiony ze swej jednostki do niższej szkoły sztabowej . . ." "Między 26-tym a 35-tym rokiem życia, powinien przejść służbę w pułku i w sztabie, powinien otrzeć się po świecie — na stażu w armiach Dominiów względnie armiach cudzoziemskich — i uczyć się języków. Mając lat 35, może przejść drugi kurs sztabowy, którego celem byłoby przygotowanie do dowodzenia batalionem."

Z tymi wywodami Col. Macnamara polemizuje F. O. Barber w liście do "*Times'a*" z dnia 14.8.43. Zdaniem jego Col. Macnamara nie zrozumiał konieczności obecnej wojny. Armia francuska miała teoretycznie doskonale wyszkolonych oficerów i rezerwy a mimo to zawiodła. Było to właśnie z powodu . . . obowiązkowej służby wojskowej, która "zmusza armie do stosowania przestarzałych metod. Jeśli ma się bowiem stale pod bronią setki tysięcy ludzi i dla milionów rezerw gotową broń i ekwipunek, to aby utrzymać armię "*up to date*" należy zmieniać te miliony ton uzbrojenia przynajmniej co dziesięć lat. Jeśli się tego nie czyni, armia staje się przestarzała, a jeśli się to czyni to powoduje to wydatki, których żaden rząd nie zechce ponieść."

Dlatego Barber proponuje armię kadrową, a nie obowiązkową służbę wojskową. "R.A.F. pokazał, że siła zbrojna może być szczupła, ale sprawna. Przed wojną R.A.F. był słaby, ale nie można było powiedzieć, aby jego poglądy czy wyposażenie były przestarzałe."

Dyskusja na pewno na tym się nie skończy, ani nie ograniczy się tylko do głosów prasy. Powinniśmy ją uważnie śledzić. Anglicy przekonali nas już chyba dowodnie, że można się u nich wielu rzeczy nauczyć.

* * *

Imponującą pochwałę polskiego lotnictwa znajdujemy w "*Daily Telegraphie*" z 13.8.43, w artykule p.t. "*Fighting Prowess of Airmen of our European Allies*," by Air-Comdre. E. L. Howard-Williams.

"*Escorted by fighters of the Allied Air Forces*" . . . Cóż to oznacza? Wydaje mi się, że należy im oddać hołd. Zobowiązując się walczyć do ostatka, polscy lotnicy przypomnieli światu dnia 1 lipca rolę, jaką oni i ich przyjaciele, którzy wybrali dumne wygnanie, odegrali w tej wojnie . . .

Polskie siły lotnicze są znaczniejsze niż siły innych narodów europejskich. Pod dowództwem gen. Stanisława Ujejskiego osiągnęły niebywałą sławę na polu bitwy. Za część ich wyczynów mogę osobiście ręczyć, gdyż miałem raz zaszczyt dowodzić 1000 ich oficerów i 3000 żołnierzy.

W skład ich lotnictwa wchodzi 6 dywizjonów myśliwców dziennych — głównie na "Spitfire'ach" i jeden dywizjon nocny. Trzy dywizjony bombowców są pod polskim dowództwem.

Historia ich jest godna uwagi. W Polsce jeszcze, zniszczyli 1000 samolotów niemieckich, z czego 127 strącono nad Warszawą a 53 nad Helem. We Francji 140-tu polskich pilotów służących w dywizjonach francuskich zlikwidowało 55 Niemców. W Wielkiej Brytanii jeden dywizjon zniszczył podczas "*Battle of Britain*" 126 samolotów niemieckich, 11 września 1940 r. dwa dywizjony strąciły 19 z 80 strąconych tego dnia Niemców. 15 września strącili 28 z rekordowej liczby 185. Włącznie z Polakami latającymi w dywizjonach angielskich strącili podczas "*Battle of Britain*" 190 Niemców. Podczas wyprawy na Dieppe jeden dywizjon polski mógł się poszczycić $9\frac{1}{2}$ zwycięstwami — najwyższa cyfra ze wszystkich dywizjonów. Inni Polacy strącili dalszych 8. Do 9 września ubiegłego roku ich dywizjon nocny na "Beaufighter'ach," którego dowódca jest odznaczony "Virtuti Militari" /"polskim V.C."/ i "Krzyżem Zasługi" — strącił nocą 16 samolotów. W ciągu 23 minutowego raidu t.zw. "baedeckerowskiego" Niemców na Exeter Polacy strącili cztery maszyny wroga.

Suma ogólna ich zwycięstw w samej Wielkiej Brytanii wynosi do dziś dnia 536 strąconych, włącznie z 104 przez polskich pilotów służących w R.A.F.-ie. Z tej liczby przynajmniej 314 zostało strąconych przez ich sześć dywizjonów myśliwskich. Dywizjon Kościuszko /173 1/3/, Toruń /43/, Inne dywizjony /30 1/3/.
Wilno /29 1/3/, Warszawa /21/, Lwów /17/. Cyfra 173 1/3 stawia dywizjon Kościuszko na drugim miejscu na liście dywizjonów *Fighter Command*.

Bombowce polskie brały udział w tysiącach nalotów nad Niemcami i okupowaną Francją, włącznie z nalotami "1000 bombowców." Generał Sikorski stwierdził niedawno, że w wielkich nalotach bombowych R.A.F.'u polskie bombowce stanowiły regularnie około 10% maszyn. Do lipca 1942 r. latało 2987 polskich załóg. Do 20 lutego dokonali oni 4752 wypraw, zrzucając 11.500 ton bomb, nie mówiąc o rozlicznych lotach, podczas których stawiali miny. Nadto przeprowadzili oni drogą przez Zachodnią Afrykę 1000 samolotów.

P.A.F. liczy obecnie 12.000 lotników, myśliwców dziennych i nocnych oraz załogi bombowców. Służą oni również w *Coastal Command* i zatopili cały szereg okrętów podwodnych. Mają swe własne szkoły lotnicze. Około 70% nauczyło się angielskiego.

Ponieśli ciężkie ofiary. Do sierpnia 1942 r. 99 myśliwców zostało zabitych a zaginęło 54 /z czego 17 jeńców/. Załogi bombowców miały 174 zabitych a 223 zaginionych /z czego 85 jeńców/.

Oprócz odznaczeń polskich i innych których zdobyli bardzo wiele, zasłużyli sobie na 2 D.S.O., 61 D.F.C. /2 z wstęgami/, 3 A.F.C., jeden M.M., 37 D.F.M., i 4 A.F.M. Pięć D.F.C. dostali piloci, którzy razem zestrzelili 44 samoloty nieprzyjacielskie.

DOMINIK SZCZERBIC

Bez black-outu

Przeżywamy piąty już wrzesień drugiej wojny światowej. Wrzesień ten jest pełen nadziei i planów na przyszłość. Układa się nie tylko plan odbudowania Warszawy, prognozy pierwszego tygodnia w Polsce, ale podobno nawet ktoś prywatnie rzucił już inicjatywę opracowania całego "ceremoniału" naszego powrotu. Niewątpliwie świadczy to dobitnie o niezłomnym duchu emigracji, o potędze wiary i o czym kto chce. Jednak jest w tej sprawie wielkie "ale," które jeszcze nigdy nie nadawało się do tak szczerego omówienia, jak właśnie w chwili obecnej, w miesiącu bieżącym, a piątym z kolei wrześniu wojny.

Cztery lata wojny nerwów, cztery lata rozłąki z Krajem zmieniły wielu ludzi z naszej emigracji, zachwiały podstawą moralną pewnych spraw, nadszarpnęły poważnie tradycje polskiego zwyczaju, a na pewnych odcinkach przekreśliły — obowiązujące niegdyś w pewnych zawodach czy okazjach — formy. Myślę czasem, że tragedia niektórych ludzi z naszej emigracji jest głębsza, niż na pozór wydawać by się mogło. Wiszą oni w próżni między dwiema kulturami: nogami odbili się od polskiej a głową nie sięgnęli brytyjskiej. Stąd powstają sytuacje, w których np. brytyjska wolność słowa i polemiki w naszych warunkach zamienia się w niesmaczne afery dziennikarskie, negliżowane aż do spodu na oczach opinii publicznej.

To ta próżnia właśnie sprzyja kwasom i goryczom, w niej wytwarza się nieobserwowane poprzednio w naszym społeczeństwie ogromne zmaterializowanie, chęć użycia, połączona z nieudolnym usiłowaniem podciągnięcia się do tutejszego poziomu. A co najsmutniejsze, w tej próżni rodzi się straszliwa obojętność uczuciowa i wyzwala się najgorszy egoizm. Ponieważ, jak się powiedziało, głowa nie sięga kultury brytyjskiej, ofiara ratuje się często zakłamaniem i najpiękniej tłumaczy sobie i innym tu nabyte, emigracyjne wady.

Zmaterializowanie niektórych ludzi z emigracji, skłonność do zbierania funtów i mnożenia wszelakiego dobra można jedynie usprawiedliwić chęcią pomocy najbliższym w Kraju teraz lub po wojnie. Wielu istotnie tak myśli, tak mówi i tak czyni. Ten materializm nazwałbym rozsądnym, nawet szlachetnym, ale ileż jest takich typków, które tylko na mówieniu poprzestają, nie szczędząc sobie żadnych uciech. Ten najwstrętniejszy z kamuflaży to chyba zupełne upodlenie samego siebie.

Zachodzi obawa, że cztery "tłuste" lata emigracji polskiej zemścić się mogą na niej w sposób zupełnie nieoczekiwany. Wojna sprawiła już wiele niespodzianek, najgorszą byłaby ta ostatnia, która w finałowym może roku wojny wykazałaby, że właśnie te jednostki społeczeństwa polskiego, które znajdowały się przez cztery lata w najlepszych warunkach, są najbardziej tragicznymi moralnymi ofiarami drugiej wojny światowej. Może jeszcze nie wszyscy potrafimy sobie tę prawdę uświadomić, może straszy ona tylko po nocach i spać niektórym nie daje. Są i tacy, którzy za dnia mówią skromnie: — "Cóż my znaczymy? Nic. Inni będą decydować nie my — garsteczka," a w nocy "do poduszki" pocieszają się jak umieją: — "Inaczej będzie. Tylko my! My, którym dane było zachłysnąć się kulturą, my będziemy planować, decydować i meblować."

W tej nocnej myśli jest tylko jedno prawdziwe: dane nam było bardzo wiele — cztery lata względnego spokoju i dobrego jedzenia, a nieraz i takich wygód, jakie niektórzy z nas przed tym tylko w kinie w Kraju oglądali i — powiedzmy szczerze — dla niejednego cztery lata niebardzo wyczerpującej pracy. Są takie biura polskie na terenie Wielkiej Brytanii, w których urzędowanie zaczyna się o 10.30 a przerwa na lunch o 12.30.

Ci, którzy nas nie znają, spodziewają się po nas pewno wielu pożytecznych niespodzianek. W ostatnich czasach daje się zauważyć na terenie emigracji pewne zdenerwowanie w związku z chęcią zgłębienia tajemnicy przyszłości naszej w wolnym Kraju. Jak się do nas ustosunkują? Jak będzie wyglądało spotkanie? Częściową odpowiedź na te drażliwe pytania dać mogą jedynie Polacy, którzy do chwili obecnej ciągle jeszcze z różnych stron świata przybywają do Wielkiej Brytanii i spotykają się z nami po raz pierwszy od r. 1939. To może być próba generalna przyszłości. Ich wzrok kryje w sobie wiele z tego spojrzenia, które padnie na nas tam w pierwszym tygodniu w Polsce.

Nie wolno ukrywać, że wielu Polaków, przybyłych tu z Rosji nie mogło przez dłuższy czas "znaleźć wspólnego języka" z niektórymi ludźmi z polskiej emigracji na terenie Wielkiej Brytanii. Nie wolno ukrywać, że byli jeńcy polscy z Niemiec, którzy przybyli na tę wyspę po ciężkich latach niewoli i wielu tragicznych przejściach, nie tają swego zdziwienia, a czasem głębokiego rozczarowania, już przy pierwszym zetknięciu się czy to z biegiem spraw polskich, czy ze sposobem myślenia emigracji. Wiele rzeczy ich przeraża, wielu rzeczy po prostu . . . nie rozumieją.

Przypominam sobie, jaką ogromną wrzawę wywołał ogłoszony w "Polsce Walczącej" artykuł Jacka Lisa, który przybył z niewoli niemieckiej do Wielkiej Brytanii. Tytuł artykułu brzmiał: "Nie rozumiem." Obecnie ten sam autor umieścił w numerze 34 "Polski Walczącej" przejmujący artykuł: "Protestuję." Były jeniec protestuje przeciw obojętności, jaką emigracja zdradza wobec doli jeńców polskich, pozostających w niewoli niemieckiej.

W tym właśnie miesiącu, w którym rozpamiętywamy jeszcze raz pierwsze dni wojny polskiej, tragicznej, ofiarnej, rzeczą sumienia będzie odbudowanie w sercach związku z jeńcami polskimi. Tysiące zapełniają do tej chwili "Oflagi" i "Stalagi" niemieckie. Żyją tam i czekają "wrześniowcy," żołnierze polscy z "bitwy o Francję," lotnicy nasi z Anglii.

Uprzytomnijmy sobie, że "wrześniowcy" trwają za drutem kolczastym od roku 1939. Zastanówcie się 1939 — 1943. To dla niektórych stracone najpiękniejsze lata młodości, dla wielu najcenniejsze lata wieku męskiego, dla innych to pierwsze lata siwizny. Wszystkie wieści z obozów jenieckich potwierdzają, że Polacy za drutem kolczastym to wzorowi żołnierze i obywatele; mówi się, że nawet Niemcy znajdują czasem słowa uznania dla ich postawy moralnej.

Protest Jacka Lisa przyszedł w porę. Może nastrój września roku 1943 otrzeźwi nas i pobudzi serca. Niejeden może ograniczy swoje "kłusownicze" wyprawy kinowo-dancingowe a szylingi systematycznie, codziennie niemal wydawane na jakąś rozrywkę, raz w tygodniu choćby przeznaczy na pomoc kolegom w niewoli niemieckiej. Nie jak dobroczyńca, nie jak łaskawy ofiarodawca. Po prostu jak obywatel, jak przyjaciel . . .

Jacek Lis pisze nie ukrywając prawdy, pisze uczciwie:

"Jeżeli idzie o prywatne zainteresowanie się losem tych, którzy od blisko czterech lat czekają w zamknięciu niemieckich obozów, odcięci od wszystkiego, co stanowi smak i wartość życia — mało kto tutaj poświęca im dostateczną uwagę i zainteresowanie. W najlepszym wypadku opodatkowuje się może miesięcznie na rzecz tych nieszczęśliwców i zdobywa kosztem ewentualnego funta czyste sumienie i poczucie, że zrobił swoje . . .

. . . Ale stwierdzam, że wszystko co się robi tutaj dla jeńców jest niedostateczne, nie dość powszechne, nie dość przenikające w całe społeczeństwo polskie na obczyźnie, mające w obecnych czasach niebywały przywilej życia na wolności w porównaniu z Krajem, z Rosją, z obozami w Niemczech . . ."

O tak, mamy przywilej. Co więcej zbyt często nadużywamy tego przywileju. Autor słusznie zarzuca Polakom z emigracji tutejszej zupełny brak znajomości życia jeńców, zupełny brak odczucia i zrozumienia duszy jeńca wojennego. Słusznie protestuje Jacek Lis przeciw szerzącej się skłonności uważania jeńców za ludzi niepełnowartościowych, zacofanych i spóźnionych w porównaniu z tymi znakomitymi rodakami, którzy cieszyli się przywilejem wolności i innymi specjałami na terenie Wielkiej Brytanii. Ten płomienny artykuł podkreśla wyraźnie twardą wolę jeńców: wolę przetrwania i dotrwania. Autor wskazuje słusznie na głęboką przemianę społeczną, która dokonywa się wśród Polaków za drutem kolczastym.

W spojrzeniu człowieka, który przybył stamtąd kryje się poważny wyrzut w naszą stronę. Wyrzut w pełni uzasadniony. Niewątpliwie stępieliśmy wyraźnie. Wystarczy przeglądnąć teraz od czasu do czasu ostatnią stronę "Polski Walczącej" z wykazem datków na rzecz pomocy Polakom w Rosji i porównać z numerami choćby z roku ubiegłego, by się przekonać, że równocześnie niemal z zerwaniem stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Z.S.R.R. rodacy nasi w Wielkiej Brytanii zrezygnowali zbyt łatwo i zbyt szybko z dalszych ofiar materialnych na rzecz pozostałych daleko braci.

Właśnie ta łatwość rezygnacji i zapominania jest może najbardziej przerażająca. W tej łatwości czai się niebezpieczeństwo . . . "bumerangowe." Nie rezygnujmy tak szybko i zaocznie z setek i tysięcy rodaków, którzy utracili wolność, bo łatwość z jaką to czynimy zemścić się może na nas samych. Możemy się kiedyś dowiedzieć z przykrym zdziwieniem, że ktoś nie liczy na nas, że ktoś przekreślił naszą pozycję np. z powodu nadużycia przywileju wolności.

Pozostając pod głębokim wrażeniem artykułu Jacka Lisa, apeluję do wszystkich Czytelników, do Kolegów z wszystkich broni, do cywilów wszystkich stopni o stałe poświęcenie raz w tygodniu jednej rozrywki na rzecz skromnego datku, który pod nowym zawołaniem: "Paczki od serca" można już zaraz przesyłać na adres "Polski Walczącej." Wiem, że jakaś obojętność gdzieś może wzruszy w tej chwili ramionami i syknie: "Znowu zbiórka," wiem, że jakieś wygodnictwo zawoła: "Przecież już mi strącają z żołdu." Nie szkodzi. Rzecz sumienia. Tym, co nie zrozumieją i nie odczują słów Jacka Lisa wyrzutów czynić nie należy: wiszą w próżni . . .

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S. Zamiast rozrywek we wrześniu przekazuję £1 na dwie pierwsze "paczki od serca."

Skrzynka pocztowa

GENERAŁ SIKORSKI WE LWOWIE WE WRZEŚNIU 1939

Szanowny Panie Redaktorze,

Rozpoczęte w ostatnim /35/ numerze "Polski Walczącej" p.t. "Ze Lwowa do Francji" wspomnienia p. Antoniego Bogusławskiego zawierają pewne szczegóły, które tak ze względu na osobę ś.p. generała Sikorskiego, jak i przez wzgląd na prawdę historyczną, winny być sprostowane. Czynię to jako ten, który stał wówczas bardzo blisko Generała.

Sprostowanie moje dotyczy następującego ustępu wspomnień p. Bogusławskiego z pobytu gen. Sikorskiego we Lwowie w dniu 11 września 1939 r.:

"Przed południem odwiedzili Generała przedstawiciele ówczesnej opozycji politycznej. Omawiano różne koncepcje polityczno-obronne. Przy rozmowie tej nie byłem, ale po wyjściu Generał powiedział mi:

—Namawiano mnie na zamach stanu . . ."

Relacja p. Bogusławskiego, prawdziwa co do faktu propozycji dokonania zamachu stanu, stawianej gen. Sikorskiemu, jest całkowicie nieścisła co do tego, jakoby z taką propozycją wystąpili wobec niego "przedstawiciele ówczesnej opozycji politycznej." Nie wiem na czem p. Bogusławski opiera swe twierdzenie, w każdym razie jego źródłem nie może być cytowane przezeń wypowiedzenie gen. Sikorskiego, które jest całkowicie ogólnikowe.

Faktyczny stan sprawy był tymczasem następujący:

11 września przed południem gen. Sikorski omawiał wytworzoną nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń wojennych sytuację z gronem przyjaciół, których m.in. informował o dokonywanych bez przerwy od dnia wybuchu wojny zabiegach nawiązania łączności z marsz. Śmigłym-Rydzem, aby uzyskać odeń odpowiedź nie na dwa, jak pisze p. Bogusławski, ale na trzy pisma /pierwsze wysłane było nazajutrz po podpisaniu paktu niemiecko-sowieckiego, t.j. w dniu 24 sierpnia/, w których oddawał się do jego dyspozycji. W rozmowie tej poza gospodarzem mieszkania, uczestniczyli: gen. Haller, gen. Kukiel, nieżyjący już dzisiaj płk. Stefczyk i ja.

Pod koniec rozmowy zjawił się p. Zygmunt Nowakowski i on to, przedstawiając w patetycznych słowach, grozę położenia ogólnego, zaproponował gen. Sikorskiemu, aby wobec faktycznego załamania się centralnego ośrodka władzy państwowej, utworzył wraz z gen. Hallerem i gen. Sosnkowskim tryumwirat, coś w rodzaju Komitetu Ocalenia Publicznego, przy którym niewątpliwie, zdaniem p. Nowakowskiego, skupi się całe społeczeństwo.

Gen. Sikorski bez wahania, stanowczo propozycję tę odrzucił. Motywy, którymi to swoje stanowisko uzasadniał, znalazły uznanie u wszystkich obecnych z wyjątkiem, oczywiście, autora projektu. Bezpośrednio po tym p. Nowakowski odbył jeszcze rozmowę z gen. Sikorskim w cztery oczy. Jej przebiegu nie znam, przypuszczałem tylko, że rozmowa ta najprawdopodobniej dotyczyła sprawy użycia jako ew. pośrednika wobec Śmigłego-Rydza wojewody lwowskiego Biłyka. O bliskich stosunkach z tym przyjacielem ówczesnego Naczelnego Wodza wspomniał bowiem poprzednio p. Nowakowski.

Kiedy w kilka godzin później opuszczałem mieszkanie gen. Sikorskiego, spotkałem na schodach przychodzącego doń ponownie p. Nowakowskiego. Z jego wyrazu twarzy odniosłem wrażenie, że jeżeli istotnie miał on jakąś misję do p. Biłyka, to skończyć się ona musiała niepowodzeniem . . .

Nie zajmuje mnie w tej chwili zupełnie polityczna ocena propozycji, z którą p. Nowakowski wystąpił wobec gen. Sikorskiego. Wydaje mi się wszakże, że zapisywanie jej na rachunek "przedstawicieli ówczesnej opozycji politycznej" jest niemożliwe. Przypuszczam, że p. Bogusławski uczynił to w jak najlepszej wierze na podstawie domysłów. Sądzę jednak, że skoro gromadzi się przyczynki do historii, to winny do niej wejść nie domysły, ale obiektywne fakty.

Londyn, dnia 6 września 1943 r.

Karol Popiel

W SPRAWIE POMOCY JEŃCOM POLSKIM W NIEMCZECH

Niniejszym zwracamy się z gorącym apelem o pomoc w akcji, prowadzonej przez "Sekcję Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym" Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet Polskich w Zjednoczonym Królestwie.

Działalność tej Sekcji polega na nawiązywaniu i utrzymywaniu korespondencji, oraz przesyłaniu paczek papierosowych tym jeńcom wojennym, którzy dotychczas nie otrzymują indywidualnej pomocy z zagranicy. Jeńców takich w obozach niemieckich jest wielu, adresy ich otrzymujemy za pośrednictwem P.C.K. i innych źródeł. Wśród nich są tacy, którzy od chwili zamknięcia ich w obozie nie otrzymali ani jednego listu, ani jednej indywidualnej paczki od kogokolwiek. Ich wytrzymałość duchowa, w ciężkich warunkach kilkuletniej wegetacji w niewoli jest heroiczna i tym bardziej zasługuje na najżywszą troskę. Ich stan fizyczny przy głodowych racjach żywnościowych woła o ratunek. Trzeba im dopomóc. Trzeba, żeby wiedzieli, że ktoś się o nich troszczy. Takim widomym znakiem troski jest — "Paczka dla mnie."

Przesyłka indywidualnych paczek papierosowych nie jest dotychczas ograniczona kontyngentem, a więc nie stoi w kolizji ani z paczkami indywidualnymi od rodzin, ani z paczkami zbiorowymi, wysyłanymi dla jeńców przez P.C.K. Jeśli więc poza tymi rodzajami pomocy dla jeńców można przesłać coś więcej to w chwili, kiedy drogi pomocy dla cierpiących rodaków coraz bardziej się zamykają, nie powinniśmy pomijać tej okazji. Tym bardziej, iż przesyłka paczek indywidualnych to nie tylko bezpośrednie ulżenie doli jeńców wojennych, ale i ich rodzin w Kraju. Ponadto przesyłka paczek indywidualnych stanowi pomoc nie tylko personalną, ale wzmaga dopływ pomocy ogólnej, gdyż jak nam wiadomo z listów od jeńców, ci, co mają więcej, dzielą się z tymi co mają mniej. Papieros w obozie to pieniądz.

Niech nikt nie zasłania się tym, że ma już pod opieką kogoś ze swej rodziny lub znajomych.

Niech każdy przyczyni się ponadto do ulżenia losu tych, którzy nie otrzymują pomocy od rodzin i znajomych.

Za pieniądze otrzymywane dziś — jutro wysyłane są paczki za pokwitowaniem P.C.K., które są w naszym posiadaniu dla kontroli. Wszelkie czynności administracyjne związane z tą akcją spełniane są honorowo przez "Chrzestne Matki." Koszta techniczne pracy Sekcji pokrywane są przez Stowarzyszenie Służby Społecznej.

Wszystkie datki pieniężne zużywane są wyłącznie na paczki.

Każda ofiara jednorazowa lub systematyczna przyczyni się do zwiększenia ich liczby. Ofiary prosimy kierować w formie Postal Order lub Mon. Order na ręce Skarbniczki Sekcji p. Krystyny Meissnerowej 47B, Roland Gardens, S.W.7, względnie za pośrednictwem "Polski Walczącej" z zaznaczeniem "Dla Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym."

Prezeska Stowarzyszenia
/—/ *Wanda Grabińska*

Przewodnicząca Sekcji
/—/ *Zofia Gergovichowa*

DO DOWÓDCY 6-TEJ DYWIZJI GEN. TOKARZEWSKIEGO

Gdy rok temu w Samarkandzie w domu sierocińca, siedzieliśmy przy swych tobołkach — złamani, oczekujący z niepokojem zawiadomienia z Dowództwa Dywizji o dalszym losie, gdy na okręcie "Kaganowicz" wśród rzeszy kilkutysięcznej rodzin wojskowych, siedząc głowa przy głowie prawie zamglonymi oczami, szukaliśmy Cię Panie Generale! Organizm słaby, wycieńczony, mózg anemiczny z trudem przypominał imiona najbliższych, pozostawionych w Kraju, serce, pełne wdzięczności, przy Tobie tylko, Panie Generale.

Dziś po roku, rozproszeni po Afryce, Indiach i Persji, szukamy Cię znowu oczami swej duszy. Ale nie tylko po roku, i po dziesiątkach lat serca nasze przykute są do Twej postaci.

Jeszcze niejedno istnienie ludzkie uratowane przez Ciebie zaznaczy krzyżem przydrożnym swój powrót do Kraju, niejedno zostanie tu, wśród dżungli afrykańskiej — reszta uratowanych dzięki Twej opiece stawi się na rozkazy, tej co "Nie zginęła"!, a czeka nas.

Cześć Ci Panie Generale!

Rodziny Wojskowych wywiezione z 6-tą Dywizją

Tengieru via Arusha /Afryka Wschodnia/, dnia 15 sierpnia 1943 r.

JESZCZE O HUMORZE ANTYNIEMIECKIM

Drogi Redaktorze,

W artykule "Także walka z Niemcami" w nr. 31 "Polski Walczącej" napisałem, że "Simplicissimus" pozbawiony żądła zdrowej satyry został zlikwidowany. Informacja ta tyczyła jednak nie "Simplicissimusa," ale pisma humorystycznego pod nazwą "Kladderradatsch." "Simplicissimus" natomiast pozbawiony żądła zdrowej satyry wychodził jeszcze do niedawna, u tego samego nakładcy co w czasie Republiki Weimarskiej a nawet przed wojną światową, a mianowicie—Knorr & Hirth, Kommanditgesellschaft, München. Również i grono współpracowników pozostało na ogół to samo. Wystarczy, że wspomnę tu tylko kilku karykaturzystów, jak słynnego Olafa Gulbranssona, H. Kley'a, Wilhelma Schulza, O. Herrmanna, E. Thöny'ego, A. Kubina, a z pisarzy—Heinza, Scharpfa, Schlehdorna, Ratatöskr'a, P. Shera i t.d.

Tak tedy pismo to, które przez dziesiątki lat ostrą satyrą w słowie i rysunku zwalczało rządy cesarskie i republikańskie, militaryzm i wszelkie objawy wstecznictwa niemieckiego, obecnie w tym samym nakładzie i w niezmienionym prawie zespole redakcyjnym służy celom propagandy hitlerowskiej. Fakt ten podkreślić należy jako znamienny dla psychiki całego narodu niemieckiego, nie wyłączając elementów, które pragnęły dawniej uchodzić za najbardziej postępowe.

Informator mój komentuje podany przeze mnie dowcip o rozmowie Hitler-Pétain uwagą, że urodziła się ta anegdota nie w Niemczech, ale w Budapeszcie. Oryginalna jej *pointe'a* brzmi jakoby: Hitler do Pétain'a: "*Kaffee, oder wollen sie lieber Tee?*" Na to Pétain: "*Liberté.*"

Nie chcę zakończyć tego listu bez dodania jeszcze jednego kawału prosto z Francji. Ogonek ludzi przed sklepem rzeźnika. Niemiecki żołnierz, korzystający z przywilejów *Herrenvolku* kupuje poza kolejką i wychodząc ze swoim befsztykiem rzuca czekającym pogardliwą uwagę:

—Wy Francuzi niedługo i tak będziecie gryźć trawę.

—Z tą różnicą — pada odpowiedź — że wy ją gryźć będziecie *par en dessous, od dołu.*

Z poważaniem

Aleksander Janta

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,801

MARYNARKA WOJENNA — POLAKOM W ROSJI

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £200 /słownie: funtów dwieście/ na pomoc Polakom w Rosji.

Polacy w Southfield Sanatorium przesyłają £4.1.0 /cztery funty i jeden szyling/ na Pomoc Polakom w Rosji. *Za ofiarodawców A.S.*

* * *

Ks. St. Stępień, St. Stanislaus Rectory, 9, Eld Street, New Haven, Conn, przesłał £4.2.9 na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

Zamiast na Mszę za spokój duszy Brata mego, przekazuję 10 sh. na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji.

pchor. N.J.

* * *

Przesyłam 10 sh. na Pomoc Polakom w Rosji w 6-tą rocznicę śmierci brata mego ś.p. plut. pch. pilota Tadeusza Str. zamiast kwiatów na Jego grób.

Marian Str.

* * *

Zamiast kwiatów na grób ś.p. Halusi Wawreckiej przesyłam sh.10 dla Polaków w Rosji.

Dąbrowska

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. strzel. Filocha Bronisława z Baonu Strzelców Podhalańskich — na sieroty po wojskowych Dowódca Baonu £1, bezimiennie sh.10.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £211.3.9 /słownie dwieście jedenaście funtów, trzy szylingi i dziewięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,801.1.0½ /słownie: dziewięć tysięcy osiemset jeden funtów, jeden szyling i pół pensa/, 28 dolarów kanadyjskich. 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

PACZKI OD SERCA

Wiktor Budzyński /por. "Bez blackoutu" w bież. numerze/ £1.

Redakcja "Polski Walczącej" £1.

Sumę £2 przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet /por. apel Sekcji w "Skrzynce pocztowej"/.

POSZUKIWANIA

WYKAZ Nr. 32

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

19. **Grodzki**, strzelec — poszukiwany przez rodziców Józefa i Jadwigę w Rosji /3800/26/.
20. **Gwiazda** Stanisław, ppor. rez. inż. mar. — poszukiwany przez żonę Zofię i syna Andrzeja w Rosji /3800/34/.
21. **Jakusik** Dominik, strzelec — poszukiwany przez żonę Annę i dzieci: Reginę, Adolfinę i Mieczysława w Rosji /3800/18/.
22. **Jurewicz** Franciszek, sierż. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci: Romualda, Irenę i Danutę w Rosji /3800/18/.
23. **Kapłański** Henryk, ppor. — poszukiwany przez matkę Paulinę, bratową Marię w Rosji i brata Władysława — san. w Iraku /3800/18/.
24. **Kołodziejczak** Wacław — poszukiwany przez żonę Lubę w Rosji /3800/10/.
25. **Krochmalski** Jan, ppor. rez. — był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Serafinę i syna Jana w Rosji /3800/4/.
26. **Król** Jan, kpr. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci: Henryka, Mieczysława, Mariana w Rosji, oraz syna Kazimierza szer. w Iraku /3800/17/.
27. **Kucharczyk** Zygmunt, szer. — poszukiwany przez matkę Walerię, siostrę: Marię i Danutę oraz babkę Lenkiewicz Józefę w Rosji /3800/17/.
28. **Küpść** Wacław, por. — poszukiwany przez żonę Zinajdę i syna Zbigniewa w Rosji /3800/10/.
29. **Kurek** Franciszek, sierż. — poszukiwany przez żonę Annę, dzieci: Halinę, Marię i Franciszka w Rosji /3800/26/.
30. **Lesiowicz** Paweł, ppor. rez. — poszukiwany przez żonę Jadwigę w Rosji /3800/4/.
31. **Lipner**, st. wachm. żand. — poszukiwany przez żonę Józefę w Rosji /3800/4/.
32. **Makarewicz** Włodzimierz, plut. — poszukiwany przez Janinę w Rosji /3800/4/.
33. **Maliszewski** Władysław, plut. — poszukiwany przez żonę Nadzieję i dzieci: Jadwigę i Zdzisława w Rosji /3800/11/.
34. **Marcisz** — bosman — poszukiwany przez żonę Zofię, synów Bohdana i Zdzisława w Rosji /3800/25/.
35. **Masło** Jan, por. — poszukiwany przez żonę Wandę i dzieci: córkę Annę, syna Dariusza /3800/34/.
36. **Mazur**, podof. — poszukiwany przez żonę Janinę i syna Ryszarda w Rosji /3800/25/.
37. **Mazur** Józef, bosman — poszukiwany przez żonę Marię i syna Czesława w Rosji /3800/34/.
38. **Mielniczuk** Andrzej, kpt. — poszukiwany przez żonę Adelajdę i córkę Olgę w Rosji /3800/4/.
39. **Mikucki** Eugeniusz, był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Stanisławę, dzieci: Krystynę i Stanisława w Rosji /3800/34/.
40. **Moczydłowski** Konstanty, ppor. rez. — poszukiwany przez żonę Helenę, synów Gustawa i Tadeusza w Rosji /3800/35/.
41. **Motkowski** Kazimierz, kpt. — poszukiwany przez żonę Reginę i córkę Irenę w Rosji /3800/4/.
42. **Miller** Bohdan — poszukiwany przez żonę Bronisławę i synów: Ryszarda oraz Kazimierza w Rosji /3800/4/.
43. **Moreliwicki** Ryszard, st. ogn. — poszukiwany przez żonę Weronikę, synów: Romana, Mieczysława i Witolda oraz teść. Regorczyk Julię w Rosji /3800/17/.
44. **Niewiar** Cyryl, kpr. — poszukiwany przez żonę Marię, córkę Annę w Rosji /3800/25/.
45. **Niezgoda** Władys., por. był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Paulinę w Rosji /3800/4/.
46. **Nelken** Jan, dr. płk. — poszukiwany przez por. Zboińskiego Tadeusza /5290/.
47. **Nikon** Jerzy — poszukiwany przez brata Mikołaja ppor. Paiforce 106 /5303/.
48. **Nowacki** Franciszek, st. ogn. — poszukiwany przez żonę Wandę i córki: Irenę i Elżbietę w Rosji /3800/35/.
49. **Nowak** Antoni, st. sierż. — poszukiwany przez żonę Jadwigę i dzieci: Danutę, Barbarę, oraz Zbigniewa w Rosji /3800/4/.
50. **Nowakowski** Michał, st. mar. — poszukiwany przez żonę Eugenię i syna Mieczysława oraz Małyńską Marię w Rosji /3800/34/.
51. **Nowotko** Edward, kpt. — poszukiwany przez żonę Stanisławę, dzieci: Marię i Edwarda w Rosji /3800/5/.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Przesyłam książki w/g. załączonego wykazu, z prośbą o przesłanie tychże dla Żołnierzy Polskich na Bliskim Wschodzie.

Dowódca Szwadronu rotmistrz P.

Załączonych 61 książek w języku polskim i 10 książek w języku angielskim.

* * *

Bezimiennie przysłane: R. Vansittart: "Czarny rejestr." "Chrześcijański ustrój społeczny."

* * *

Kpr. F. N. przesłał sz.10—na zakup książek dla żołnierzy na Bliskim Wschodzie. Za pieniądze te zakupiliśmy jeden egzemplarz Wojciechowskiego: "Historia literatury polskiej."

Od żołnierzy obozu lotniczego w K . . . przysłano 21 podręczników języka angielskiego z przeznaczeniem dla Trzeciej Polskiej Dywizji na Środkowym Wschodzie.

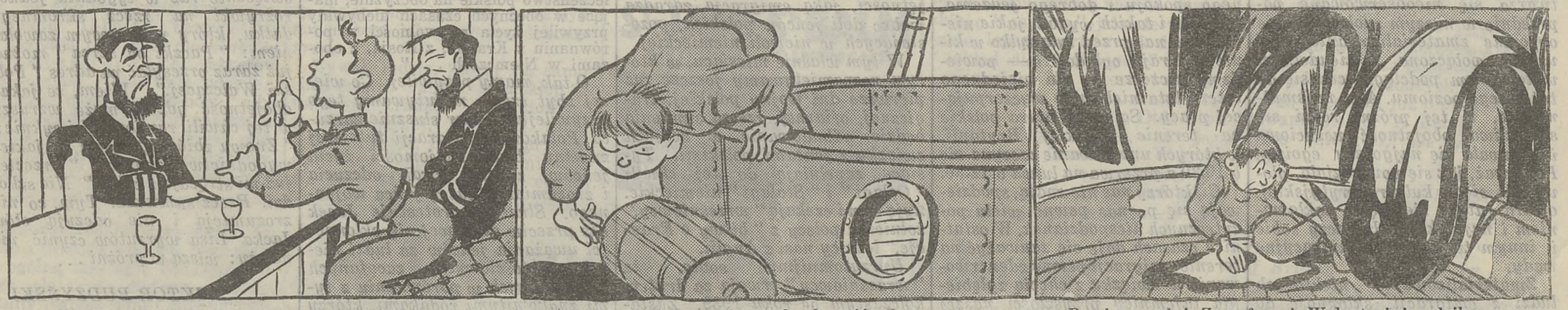
* * *

Bezimiennie 23 książki dla żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie.

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2391 książek.

Tekst: RYSZARD POBÓG **PRZYGODY WALENTEGO POMPKI** *Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



Za Islandią Walenty
Popił sobie /to modne/
I oświadczył, że będzie
Topić łodzie podwodne.
Poszedł szybko na rufę
No i suszył tam głowę,
Jak odczepić tak zwane
Bomby dwie, "głębinowe."
Bomby poszły! Za rufą
Trysły wody fontanny,
A Walenty już sądził,
Że śmiertelnie jest ranny . . .



Myślał nawet przez chwilę
Nad swą śmiercią i zgubą,
Kiedy z fal się wynurzył . . .
Nie wieloryb, lecz -U-boat!
Uszkodzona łódź szwabska
Poszła na dno powoli,
A załoga bezpiecznie
Dziś przebywa w niewoli.
Potem Pompkę przyjęto
Kolacyjką dość gwarną,
A dowódca konwoju
Dał mu . . . Gwiazdę Polarną.

ZE ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P.

Zważywszy, że w swej kampanii przeciwko redaktorowi Zygmuntowi Nowakowskiemu "Dziennik Polski" powołuje się na cytowanie przez prasę niemiecką artykułów redaktora Nowakowskiego, oraz że "Dziennik Polski" usiłuje z tego tendencyjnego cytowania ukuć zarzut mierzący w patriotyzm i honor kolegi Nowakowskiego,

Zarząd Związku Dziennikarzy R.P. Sekcja w Londynie na zebraniu w dniu 2.IX.1943 w nieobecności kolegi Nowakowskiego jednogłośnie potępił takie metody polemiczne jako niedopuszczalne.

Zarząd

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

RACŁAWSKI Stanisław, P/54, poszukuje żony BRONISŁAWY, córek HELENY, JANINY, synów ZDZISŁAWA, KAZIMIERZA, JÓZEFA, brata KAZIMIERZA oraz rodziny.

Powyżsi zamieszkiwali ostatnio: Świerdłowskaja Obłast, Rewidynskij rejon, Dektiarka Konny Dwor, Barak 33, poczta Sowgorod.

* * *

Franciszek ROZWADOWSKI, P/36 P.F. poszukuje ANDRZEJA ROZWADOWSKIEGO z DOŁPOTOWA.

* * *

LEON JERZY KRZYWICKI, który był wywieziony jako jeniec wojenny do Rosji jest poszukiwany. Wszelkie informacje prosimy nadsyłać do Admin. "P.W." pod "Inż.A.K."

* * *

KAROL WAGNER z rodziną, właściciel dóbr Wielkie Soleczniki z powiatu Wileńsko-Trockiego, oraz ppor. JUROŃSKI WACŁAW, wyjechał we wrześniu 1942 r. na studia do Wielkiej Brytanii. Wiadomości proszę kierować do redakcji "Polski Walczącej."

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fieds, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.